

Jeleńska Emma

BOCIANY

Nowele:

Pantofelki - Modlitwa Jadwigi

- Bajka - Tryumfator -

Przy lampie -

Znak zapytania - Przed świtem

- - W dzień patrona - -

BOCIANY

marca. Dziś przyleciały bociany. Po bezsennej nocy, dopiero nad ranem udało mi się zdrzemnąć, lecz budząc się, tak się czułem zmęczony i zbolały, tak mię w piersiach paliło, iż chciałem już przeleżeć cały dzień w łóżku. Aż koło dwunastej wszedł Maciej ze śniadaniem i mówi:
— Proszę jaśnie panicza, bociany przylecieli.
— Bociany! Więc doczekałem!... A tak się zdawało, że już wiosna nigdy nie nadejdzie...

Zwlokłem się z łóżka, otuliłem się w szlafrok i usiadłem przy oknie. Na dworze była szaruga. Padał śnieg z deszczem, miotły się drzewa. Ale na dębie, na gnieździe swem rozłożyłem, stał bocian i rozglądał się. Boćku poczciwy! Jeszcześ przyleciał! jeszcze oczy moje oglądać ciebie będą.

A tak się zdawało, że ani ciebie, ani wiosny nie doczekam. I, pomimo nocy nieprzespanej, zdrowszym się dziś czuję. Jadłem, przeczytałem gazetę i parę artykułów z »Revue« — i piszę bez trudności. Maciej twierdzi nawet, że lepiej wyglądam. Ach! — chwilowo... chwilowo... Gdy mama jeszcze żyła, jakże się ona cieszyła zawsze z powrotu bocianów. Zdawało się, że ich przybycie stanowi dla niej wróżbę dobrą na rok cały. Gdy nadchodził marzec, ciągle ich wyglądała, ciągle o nich mówiła. A potem, przez całe lato, zajmowała się nimi. Bodaj, że nawet w kupnie tej willi decydującym motywem była bliskość bocianiego gniazda. Przypominało to może biednej mamie Kamilówkę. Biedna mama! Dopóki żyła, mało o nią się troszczyłem — o! bardzo mało! Drażniła mię nawet czasem tą swoją prostotą pojęć: co dobre to dobre: a co złe to złe — i skończona sprawa. Ale teraz, gdy jej niema, jakże często ją wspominam! Co

więcej, tęsknię do niej. Tak, tęsknię. I jeśli czasem, gdy myślę
o »tamtem
życiu« — mówiąc stylem mamy — tamtą stronę, które mnie
wkrótce czeka, jeśli
czasem, o! bardzo rzadko! zadaję

sobie pytanie: co mnie tam spotka? zaraz w wyobraźni mej
wychyla się postać mamy
i idzie na moje powitanie...
Tak. Jeśli »tam« wogóle mogą być spotkania. Co mi się
ostatecznie wydaje dość
dziecinnym pomysłem — ale kto wie!... kto wie!... Jeśli więc
»tam« mogą być
spotkania, to mnie tylko jedna mama spotkać zechce. Ona
tylko jedna! Zresztą
któż kiedy dbał o mnie? I ja, czy kiedy dbałem o kogo? Nie!
ludzkość cała była
mi zawsze zupełnie obojętną — brałem z niej tylko to, co mi
było dogodne lub
miłe, a zresztą, wszystko kantem puszczałem. Więc teraz...
albo i »tam«
któżby?... Jedna mama, jedna tylko mama.
Zmęczyłem się. Trzeba się położyć. A tymczasem bociany już
we dwoje krążą ponad
gniazdem. Bardzo niespokojne. Oglądają czy wszystko w
porządku. Czasem stają
obok siebie i stoją nieruchome i patrzą. Może wspominają co
było, może robią
projekty na przyszłość, może marzą o słońcu, o ciepłym
wietrzyku, co ich pióra

osuszy — szczęśliwe bociany! Ich marzenia zawsze się
spełniają, one wiedzą,
czego chcą.
Ja nigdy nie wiedziałem.

marca. Dziś Zwiastowanie — imieniny Marylki. Posłałem jej
telegram z
powinszowaniem. Na list, pomimo najlepszych chęci, zdobyć
się nie mogłem.
Dowodzi Maciej, że w ten dzień bocianowa musi koniecznie
pierwsze jajko znieść.
I rzeczywiście, na gnieździe coś się odbywało. On był w
ciągłym ruchu, ona nie
pokazywała się wcale, aż dopiero pod wieczór oba wyleciały
razem. Niedaleko,
oblatywały szerokimi kręgami swe gniazdo, wracały na nie z
klekotem i wzajemnie
skrzydłami się obejmowały, klekotały do siebie, zarzucały w
tył głowy i
gwarzyły. Małeńskie pieśczoty!

marca. Gdy patrzę na bociany, a patrzę na nie często, bo
wstaję teraz
codziennie i doprawdy czuję się silniejszym, myślę sobie:
Ach, wy bociany!
Filistry! Burżuje! Iluż to ludzi do was podobnych!
Ale tacy najszczęśliwsi — i bodaj że najlepsi. My — ci niby
wyżsi - mamy dla
takich lekceważenie. A naprawdę, czemuż to my chełpić się
możemy? Jaka
Przedstawiamy wartość? jaką korzyść światu przynosimy?

Ja naprzykład. Nie byłem filistrem, to fakt. Lecz czernie byłem? Czy artystą? uczonym? poetą? mędrcom, który stworzył nowe drogi dla myśli ludzkiej? Nie! Czy do jakiegokolwiek skarbnicy dorzuciłem choć grosz jeden? Nie! Przeciwnie, wszelkie, jakie mi tylko w rękę wpadły skarby, rozrzuciłem na cztery wiatry. Czy komukolwiek na świecie zrobiłem co dobrego? Nie! chyba przypadkiem. Dobrem zawsze pogardzałem trochę, a dobrymi ludźmi, to i bardzo. Czy przynajmniej sobie stworzyłem świat uczuć i sensacji wytwornych? Czy odkryłem nowe źródła rozkoszy? Czy umiałem się wznieść ponad codzienną prozę? Może czasem... chwilowo... Ale na ogół życie moje wcale do podniosłych nie należało. Doprawdy, niejeden wzbogacony szewc na to samoby się zdobył. Czy przynajmniej byłem szczęśliwy? Ach, nie! Ach, nie! Szczęścia nie zaznałem nigdy, ani jednej krótkiej chwili. Pamiętam, od najmłodszych lat czułem się smutnym, bezbrzeźnie, nieskończenie smutnym, i tęskniłem — do czego? sam nie wiedziałem. Była tam we mnie jakaś chęć sławy, wielkości, jakieś parcie ku wyżynom, jakieś rozpieranie z wewnątrz i darcie się

ku nieznanym szczytom. Pragnąłem wojen, przewrotów
olbrzymich, jakichś
tytanicznych walk. Chciałem być, co najmniej —
Napoleonem.
Mama mi mawiała często: »Gdy wyrośniesz i skończysz
nauki, oddam ci cały zarząd
majątkami. Osiądziesz w Kamilówce i gospodarować sobie
będziesz«. A ja
wzruszałem ramionami. Kamilówka! Dla mnie za ciasny był
świat cały!
Potem, przemówiła do mnie Poezya. Ach, były to moje
najpiękniejsze lata. Ona
zasiadła na tronie mej duszy i przed nią klęczałem, wpatrzony
w jej oblicze. Z
nią leciałem w obłoki — wysoko, wysoko i roztopiałem się w
błękitach. A ziemia
cała była u moich stóp. Do mnie mówił wiatr szumiący — i
plusk fali ze mną
gwarzył — i listki na drzewach zwierzały mi się z tajemnic
swoich — i motyle i
ptaszki wieńcem fruwały dokoła mojej głowy. Dla mnie
słońce rzucało na sosnowe
pnie strzały swe złote, dla mnie różem i purpurą malowało
zachodnie zorze. Dla
mnie księżyc wysrebrzał noce, dla mnie mrugały gwiazdy.
Iżycie moje było dziwne
wtedy. Całe wewnętrzne, skupione w sobie — samotne, a
jednak tak zaludnione
postaciami z innego świata.

Nie robiłem nic. Czytałem, marzyłem i czasem tylko z
wezbranego serca, rzuciłem
na papier jakiś bardzo marny wierszyk. Nie chodziło mi o to,
aby pisać. Nie!
Wiedziałem dobrze, iż żadna ludzka mowa nie zdoła tego
wyrazić, co ja czułem — a
żadna ludzka istota nie zdoła mnie zrozumieć. Wiedziałem, iż
pozostać muszę
niepojętym, nieuznanym, samotnym wśród ludzkiego tłumu, i
godziłem się na to,
przeciwnie, upajałem się tem. Byłem jak szczyt niedostępny,
pokryty lodowcami.
Byłem samotny, jak orzeł w chmurach.
Naturalnie, że moje nauki — byłem wtedy w uniwersytecie —
musiały srodze
ucierpieć. Ani myślałem zdawać egzaminów — nie chodziłem
wcale na wykłady. Bo i
czegożby mię mogli profesorowie nauczyć?
Powoli jednak zrodziła się we mnie tęsknota do jakiejś
pokrewnej istoty.
Porozumieliśmy się prędko z Leonem Rajskim. On był
starszym ode mnie poetą,
nieraz już drukowanym, cieszącym się odrobiną sławy.
Wywarł na mnie wpływ
ogromny. Zwłaszcza cynizm jego zaimponował mi. Nie było
dla niego rzeczy
dobrej, nie było świętej. »Plwał« na świat, na społeczeństwo,
na moralność, na
religię, na pojęcia

etyczne, na prawa wszelkie. Burzył wszystko, drwił ze
wszystkiego. I bardzo
prędko cynizm ten podziałął na mnie. Upadały jedne po
drugich zasady,
wszczepione przez wychowanie — upadały te szance, które
mnie bronić miały w
życiu. Zostawała we mnie coraz pustsza tabula rasa, a na niej
zaczęły się miotać
i kłębić spuszczone ze smyczy namiętności.
I przed zbliżeniem się z Rajskim nie byłem niewiniątkiem.
Jednak myśli moje
dotychczas były mniej więcej czyste. Chociaż krew młoda
burzyła się czasem,
dusza unosiła się ponad błotem ziemskim — nie zanurzałem
się w niem całkowicie,
z lubością.
Leon Rajski ściągnął mię z moich wyżyn na samo dno.
Nauczył mię wiele. Odtąd
Poezya przestała królować we mnie — zstąpiła z tronu mej
duszy, a na nim
zasiadła Żądza. I stało się to, o czym ktoś gdzieś tak pisze:
The thoughts ye cannot stay with brnzen chains A girl's hair
lightly binds«.
Ale i tu byłem jakiś odrębny. Moja żądza była dziwna,
niepodobna do tej, jaką
widziałem u innych ludzi — żądza smutna,

nigdy nie syta, wiecznie głodna. Żądza-Tęsknota.
Zdawało mi się jednak nieraz, iż wiem, do czego tęsknię, że,
gdybym posiadał

pewną kobietę, gdybym wszedł w pewne otoczenie —
tęsknota moja byłaby ukojona, I
wszystkie siły wyteżiałem, aby tego doznać, to osiąść —
rzuciłem przed siebie
siły, zdrowie, złoto garściami, wszczepione mi tak pracowicie
zasady i ideały,
własne i cudze uczucia, wszystko poświęcałem, aby przecie to
nowe upojenie, to
nowe szczęście zdobyć. A gdy je już posiadałem, odwracałem
usta od czary i
nieraz, nie skosztowawszy jej nawet, odsuwałem na bok. Nie!
jeszcze nie to!
I dalej szukałem.
I nie zaznałem szczęścia nigdy. Z wyżyn filozofii i poezji
zszedłem na dno, na
samo dno w tem poszukiwaniu. I na tem dnie ugrzązłem.
I dziś mam lat trzydzieści pięć, suchoty w piersi, pustkę w
sercu, zero w
kieszeni, i ani jednej duszy bliskiej na całutkim świecie i
żadnego słodkiego za
sobą wspomnienia. Cóż dziwnego, że żyć mi się nie chce?

kwietnia. Wiosna idzie wielkimi krokami. Patrzę na nią
ciekawie. Wszakże to
już moja ostatnia wiosna. Następnej nie doczekam. I tak, nikt
się nie
spodziewał, abym mógł marzec przeżyć i aby mi się
poprawiło. Maciej, który
tajemnic żadnych nie uznaje, powiada: »A my z doktorem oba
myśleli, że jaśnie

panicz świąt nie przeżyje. A ot, i przeżył! I jakoś niby to poprawuje się pomалу. Może taki przez lato pociągnie«. Może przez lato pociągnie. Musiał tak doktor zaopiniować, bo Maciej widocznie jego słowa powtarza. A więc — do jesieni koniec odłożony. Używajmyż życia. Używam. Wstaję codzień i siadam przy oknie. Czytam, i patrzę i myślę, i wspominam. Ach, te wspomnienia! One są, jak węże, co mi się pod serce wkradły i piją z niego krew i życie. One są, jak węgle żarzące pod moimi stopami. Bo i co ja z tem życiem swoim zrobiłem! A jednak, choć je przeklinam, kocham je także, te smutne moje wspomnienia. Bo przecież to jest jedyna moja własność, już nic a nic więcej na świecie nie posiadam. No, wkrótce posiędę wprowadzić na własność poduszkę, słomą wypchaną, porządną

wypoliturowaną trumnę i jamę czarną na cmentarzu. Ale nie wiem, czy mię to wtedy tak bardzo będzie cieszyło. Więc, zanim dojdzie do tego, siedzę przy oknie, patrzę na zieleniejący świat Boży, i snuję ziarnko po ziarnku różaniec swoich wspomnień...

kwietnia. Zabawną rzecz wyczytałem dziś w gazecie. Jest
gdzieś jakaś wystawa
domowego przemysłu. Otóż czytam: Wędliny i sery litewskie
złoty medal otrzymała
pani Antonina Milska. konserwy z jarzyn, pomidory suszone i
kompoty list
Pochwalny, otrzymała pani Antonina Milska.
A! więc tak? Czy nie miałem racyi, czy nie miałem dobrego
nosa, uroczą Tolo, gdy
w twej poetycznej figurce odgadłem praktyczną, zabieglivą
gospodynię? Gdy
uczulem, pomimo perfum i pudru, bijącą od ciebie, woń
pomidorów i wędliny? A
wtedy — o, wtedy wcale nie oceniałem doniosłości
konserwów z jarzyn lub serów
litewskich. Teraz, może byłoby inaczej.
Bo oto tak było. Miałem lat dwadzieścia cztery. Porzuciłem
niedokończone nauki

i już zaczynałem mocno hulać, a raczej nie zaczynałem, gdyż
robiłem to już
oddawna, ale skutki tego hulania zaczynały się bardzo
wyraźnie zaznaczać na moim
funduszu. Więc poczciwa mama wymyśliła, że najlepiej
będzie mię ożenić. Dziwne,
jak te kobiety wierzą w swoje siły. Nie pomagają wymówki,
nie pomagają
perswazyje, pomoże żona. To taki uniwersalny sos do każdej
potrawy. I, niewiele
myśląc, zaprosiła do Kamilówki panie Obrocką z córkami,
Tolą i Jadzią.

Ładne były panny. Tola — wysmukła blondynka o marzących oczach, Jadzia —
rezolutna, trzepocąca się szatynka, podobna do maliny.
A tak się właśnie zdarzyło, o czym mama naturalnie wiedzieć nie mogła, że miałem
serce puste, jak numer hotelowy po wyjeździe gości.
Skończyłem był właśnie z
Lisińską, i to w niemiły sposób, trochę byłem zrażony do tych pań, i brała mnie
tęsknota do kobiet wyższych, do wzniosłej, cnotliwej miłości.
Ot, tak sobie —
pour changer. Więc Tola ze swą zimną twarzą i uśmiechem zagadkowym odrazu
zrobiła na mnie wrażenie. I kto wie, byłbym się może ożenił, gdyby nie jeden
mały fakt,

który mi wszystko popsuł. Pływaliśmy właśnie w obłokach wzniosłego flirtu,
przecinanych chwilami błyskawicą mniej platonicznych wzruszeń, gdy przyszedł
Węgrzyn z towarami.
Całe towarzystwo wyległo na ganek oglądać i kupować.
Jadzia naraz zachwyciła się
jakaś matinką haftowaną i zechciała ją kupić. Spytała o cenę.
»Sześć rubli
pięćdziesiąt kopiejek« — odrzekł Węgrzyn. »Ależ to strasznie drogo« — zawołała
Tola — »W Warszawie za Żelazną Bramą, taką za trzy ruble dostanie, a nawet, kto
umie się potargować...«

Umilkła, bo ja nagle porwałem się z krzesła i uciekłem.
Spadłem z obłoków. Tak?
Więc ty, ze swoją poetyczną twarzą, chodzisz się targować z
Żydówkami za Żelazną
Bramę? Brrr!... Ty, Psyche! aniele o tajemniczym spojrzeniu,
gwiazdo spadła z
błękitów, — ty się kłócisz o ruble i kopiejki?
Skończone było między nami. Biedna mama nic nie mogła
zrozumieć.
— Ależ, Bolku — mówiła — to i dzięki Bogu, jeśli żona jest
praktyczna, jeśli się
zna na cenach i nie robi głupich wydatków.

Nie, nie! żony »praktycznej« nie chciałem.
I dobrze się stało — dla Toli przynajmniej. We dwa lata
później wyszła za
jakiegoś pana Milskiego — słyszałem, że mają kilkoro dzieci,
a że gospodarstwo
dobrze im idzie, tego dowodem nagrodzone pomidory i
wędliny. Czegóż więcej
potrzeba?
Mówię to seryo, bez żadnego niewczesnego ironizowania.
Czegóż człowiekowi więcej
potrzeba na tym głupim świecie? Życie rodzinne, dzieci, a
więc przyszłość,
dostatek, z własnej pracy idący, poczucie, że się spełnia rolę
swą na świecie.
Ot, rolę chociażby taką, jaką naprzykład mają bociany. Bo nie
należy sobie
większej wagi przykładać — wszakże każdy z nas, to tylko
atom w przestrzeni.

Więc pocóż chcieć czuć i działać więcej, niż atomowi dano?
Bociany przychodzą na świat, łączą się w pary, dzieci rodzą,
hodują, pracują na
swoje i ich utrzymanie i umierają. Swoje zrobiły. I mają swoją
etykę, mają swoje
prawa i moralność; gdy ją wypełniają, są dobrymi bocianami,
gdy przeciw niej
wykraczają, są złymi bocianami. Czy nie tak

samo powinnyby się dziać u ludzi? I czy nie to właśnie byłoby
szczęściem.

Jeśli jest wiekuista Mądrość, co światem rządzi, jeśli jest
wieczne Prawo, co
nim kieruje, jeśli jest Wola wyższa, co nas dokądś prowadzi,
to pokieruje i
zaprowadzi bez naszego wtrącania się. Niepotrzebne jej nasze
pytanie,
niepotrzebne nasze szalone tęsknoty, nasze rozpacze i nasze
zachwyty, i nasze
wglądanie poza zasłonę, zaciągniętą umyślnie przed naszymi
oczami, i nasze
wspinanie się zaciekle na mur, który nas odgradza od »tamtej
strony«.

Niepotrzebne to wszystko.

Choćbyśmy nawet rąbek zasłony zdołali odchylić, bieg świata
nie odmieni się ani
na jotę, bo nie my nim rządzymy.

Więc poco?

O, być takim prostym, zwyczajnym człowiekiem, porządnym
atomem, który funkcję
swą uczciwie wypełnia — co za spokój! co za szczęście!

Pytanie — czy, gdybym się był wówczas z Tolą Obrocką
ożenił, czybym takim
uczciwym atomem został? Prawdopodobnie. I byłbym
szczęśliwy, zdrowy, bogaty —
gospodarowalibyśmy w Kamilówce, którejby za długi nie
sprzedano, hodowalibyśmy

dzieci, zbieralibyśmy pieniądze, bylibyśmy szanowani,
stawiani innym na wzór. I
nie umierałbym samotnie w trzydziestym piątym roku życia...
Ale to było niemożliwe. Na to trzeba było mieć serce proste i
umieć pokochać
uczciwie. A ja pokochać uczciwie już nie mogłem, ja, który
byłem zatruty i jadem
przesiąknięty od tak młodych lat. Nie darmo się obcuje z
Lisińskimi et comp.
Nie bezkarnie do chłopięcej jeszcze duszy wrzuca się błoto —
na samo dno —
czyste, niewinne dno...
Prawdziwie powiedział jakiś poeta, zdaje mi się, że Sully
Prudhomme:
»Lo coeur d'un homme vierge est un vase profond.
Si la premier eau qu' on y verse est impure,
Toute la mer y passera sans laver la souillure,
Car Pabime est immense et la tache est au fond«.
I w moim sercu leżał brud niczem nie zmyty. Normalnej,
prostej, uczciwej
miłości doznać już nie mogłem. Latanie po obłokach,
platonizm i poezye były
jedną z form, którą moje namiętności przybierały — były
jedną więcej potrawą na

moim stole — nie były wcale dążeniem do jakiegoś ideału.
Jedną zaś rzeczą stale

i trwale pogardzałem, to obowiązkiem i życiową prozą. Nie
chciałem tego,
odrzucałem precz od siebie. Dlatego też wstrętną mi była
żona, znająca się na
cenach i targująca się z Żydówkami za Żelazną Bramą. Więc
Tola wyszła za pana
Milskiego, który pewnie bardzo rad z tego, że ona umie się
targować — a ja?...

O, ja wkrótce poznałem księżną Adę — i zupełnie
zapomniałem nie tylko o Toli,
lecz o całym świecie. Było to właśnie... w jesieni... tegoż...

maja. Ostatni raz, gdym tu pisał, czułem się zdrów i rzeźwy.
Aż nagle zaczęło
mię dusić, tchu zbrakło, odkaszlnąłem, i zalałem się krwią. I
tak mi było słabo,
że ręki z chustką nie mogłem przy ustach utrzymać, ani do
dzwonka sięgnąć. Byłem
pewny, że już umieram.
Co czułem w tej chwili? Albo ja wiem! Trochę, lęku przed
tem czymś nieznanem, co
szło ku mnie i brało mnie w ramiona, trochę żalu nad sobą, że
tak kończę marnie
— samotny, zapomniany. Wiem, że szeptałem po kilka razy:
Mamo, Mamo!... — Jakie
to śmieszne, prawda? — że człowiek chory powraca, jakby do
dziecinnych lat.

Ja, gdy byłem zdrow, to bardzo mało dbałem o mamę. Potem zrobiło się ciemno i pomyślałem. Aha, to mnie do grobu wkładają, i chciałem krzyknąć: Poczekajcie! muszę coś powiedzieć. Ale krzyknąć nie miałem siły — i chwyciła mnie rozpacz. Ale tylko przez jedną sekundę, bo jakieś wieko ciemne zamknęło się nade mną — i był koniec.

Potem, Maciej mi opowiadał, że był pewny, iż już po wszystkim, gdy mnie zobaczył bez ruchu, zupełnie martwego i zalanego krwią. I długo mnie cucili i docucić się nie mogli. Doktor nawet został na całą noc. Telegrafowano potem do Marylki, ale ona nie mogła się ruszyć, leżała, chora także — jest znowu w poważnym stanie, więc Mik przyjechał na kilka dni. Aż mi się lepiej zrobiło. I poco mnie cucili! Byłaby rzecz skończona. A tak, za tydzień, za miesiąc, rozpocznie się »da capo«.

maja. Dziś wstałem po raz pierwszy od owego krwotoku. Bardzo mi słabo. Coś musiało się zrobić w prawej stronie płuc, gdyż czuję tam i ból i jakąś zaporę. No,

trudna rada! Wszakże suchoty to nie zabawka.
Pocziwy doktor czuje się czasem w obowiązku tumanić mię
jakiemiś nadziejami.
Ale ja mu się w oczy śmieję i pytam: »Dlaczego się doktor
fatyguje? Jeśli dla
własnej satysfakcji, to bardzo proszę. Ale jeżeli dla mnie, to
nie warto. Wiem
ja dobrze, co mam myśleć«.
A swoją drogą, to dziwne! Maciej ze swym chłopskim
spokojem, drażni mię. Raz,
przychodzi bardzo zafrasowany i powiada: »A ja do panicza
przyszedł po radę...«
— »No, cóż takiego?« — »Bo to my, z Katarzyną, namyślali
się. Ona mówi, żeby
jaśnie panicza ubrać w tuzurek. A ja, tobym zdaje się frak
nałożył... czegoż
żałować?...« — »Mnie frak! Gdzie? Dokąd?« — »A do
trumny«. — »A idź — że do stu
dyabłów!« Rozgniewałem się. I czego?
Pomimo to, lepszego od niego trudno by znaleźć. Jak on mię
żałuje! Jak on stara
mi się dogodzić! Żadna niańka czulejby się ze mną nie
obchodziła. Przecie on,
taki stary człowiek, wszystkie noce spędza obok mojego
pokoju, ubrany, drzemiąc
w fotelu. I to zupełnie niepotrzebnie, bo ja nikogo i niczego
nie potrzebuję.

Ach, te noce! ciężkie, nieskończone. Ta cisza okropna, ten
półcień, ten tik -

tak dużego zegara w jadalni. Ja leżę — o, najwygodniej w
świecie! a wszystko
boli — każda kość, każdy cal mojego ciała. Na piersiach mam
stupudowy ciężar.
Oddech swój słyszę, gdy ze świstem i ze zgrzytem przepływa
mi przez płuca. A
krew pali, pali. A w ustach spiekota.
Zapadam w sen. Coś mi się majaczy, różni ludzie wchodzą i
wychodzą, coś mówią,
czegoś chcą. A czasem, ja idę z nimi, tak jak dawniej, gdzieś
w pole, gdzieś w
ulice miast różnych. Tylko, że zawsze czuję zmęczenie —
ledwie nogami powłóczę.
Budzę się zawsze ze strachem, nie wiem, gdzie jestem. Ach,
więc to ten sam
jeszcze pokój! ta sama lampka błękitna! ta sama kołdra, którą
mama na drutach
robiła! Więc jeszcze żyję?... Długoż tego będzie?
Czasem tak mi się chce zasnąć, a nie mogę. Zdaje mi się
wtedy, że, gdyby na
mojem czole spoczęła dłoń kochająca matki lub siostry, tobym
pod jej dotknięciem
usnął cicho, jak dziecko. Ale dla mnie na całym świecie niema
takiej kochającej
dłoni... Leżę więc spokojnie — i myślę —

i myślę... myślę... O czymże ja w tych bezsennych nocach nie
myślę, mój Boże!
Przeszłość moja cała, życie całe staje przede mną, rozwija się
obrazami. Smutne
to obrazy, gdy je widzę w dzisiejszym oświeceniu.

Są przecie ludzie, którzy choć w części pragnienia swoje
umieją urzeczywistnić.

Ja żadnego nie urzeczywistniłem.

Bodaj to być bocianem. Patrzą na nie w tej chwili. Wczoraj
silny był wiatr, i

widać, że im się coś w gnieździe nadwerężyło, bo teraz on
przyniósł dużą gałąź i

oboje pracują nad jej ulokowaniem. Depcą nogami w kółko,
dziobami coś porządkują

— i od czasu do czasu stają obok siebie i odpoczywają. A jacy
oni zadowoleni!

Jacy pewni siebie!

Ładnie teraz na świecie. Bzy już przekwitają, a zato jaśminy i
róże zaczynają

się roztwierać. Katarzyna codziennie mi przynosi do wazonów,
jakieś nowe kwiaty.

Dziwnie, że wszyscy tacy dobrzy dla mnie!

maja. Miałem list od Marylki. Pisze, że Mik dostał jakąś
świetną posadę przy

budowie kolei syberyjskiej. Już tam pojechał. A ona, po
odbyciu słabości, co

jakoś wypada za parę miesięcy, też tam ze wszystkimi
dziećmi pojedzie. Bardzo

serdeczny list. Trzeba będzie się zebrać na odpowiedź.

Ciężka to sprawa. Nie tylko dlatego, że już wszystko mi
ciężko, ale i dlatego,

że my jakoś z Marylką nie pasujemy do siebie. — Ona —
najzaczniejsza kobieta. Sto

razy więcej warta ode mnie, to pewno. Ale jakoś nigdy nie mogliśmy się porozumieć. W jej pojęciu taki człowiek, jak ja, to darmozjad, pasorzyt, wróg ludzkości, wyrzutek społeczeństwa. I ma rację. Wszakże korzyści ani społeczeństwu, ani wogóle nikomu nie przyniosłem. Ani mi to w głowie nie powstało! A przytem, ona ma do mnie osobiste żale — i słuszne. O mamę — o sprzedaż Kamilówki, i wiele innych. Trudno... Ma... ma rację, wszyscy mają rację. Tylko ja jeden nigdy racji nie miałem...

czerwca. Poczciwy Strochowski! Przejeżdżał przez X., dowiedział się od Franusia, że mój chory, więc umyślnie do mnie zboczył i zabawił cały dzień. Nie widzie-

liśmy się od ośmiu lat, a ostatni raz było to w Nizy, gdzieśmy obaj, jak waryaci, szaleli za księżną Adą. I pomyśleć, że to ja byłem! Ja, ten sam, co tu dziś dogorywa, jak biedak — samotny i tylko dzięki matce mający dach nad głową i jakiś tam kapitalik na utrzymanie, a sam taki nędzny, taki marny, tak zwyciężony przez życie! Strochowski był przygotowany zobaczyć mnie chorego. Ale widocznie ani sobie

wyobrażał, jak dalece jest źle. Wzruszył się bardzo — wąsy zaczęły mu drgać i nie mógł nic powiedzieć tylko: »Ach, Bolku!... ach, Bolku!...«
Potem nadrabiał miną, ale jakoś nie szło. I dopiero pod wieczór, gdym kazał zapalić na kominku i usiedliśmy przy ogniu, popijając herbatę — przyszedł do siebie i zaczął dawne czasy wspominać.
Musiałem mu wszystko opowiedzieć. On mi też mówił o sobie. Ale jego historia weselsza — miał ojca, który go bardzo energicznie zatrzymał na drodze do ruiny, pieniędzy nie dał, zabrał do domu, osadził na wsi i kazał gospodarować. A że potem znalazła się gdzieś niedaleko ładna i dobra kuzyneczka, więc się ożenił, ustatkował i wyszedł na człowieka.

Pocziwy Stoch! Cieszy mię to bardzo, że mu jest dobrze na świecie i że on się nie zmarnował tak, jak ja. To taki dobry chłopiec. Chociażby ten przyjazd do mnie — to takie zacne! Wszakże już nikt z moich dawnych przyjaciół o mnie nic pamięta, i, co prawda, to nic dziwnego. Po katastrofie z Kamilówką, gdy naraz stałem się biedakiem, nie mającym co do ust włożyć, a ściganym jeszcze przez wierzycieli, bankrutem, musiałem zniknąć z oczu, a potem i z pamięci. To bardzo

naturalne.

czerwca. Wizyta Strochowskiego zrobiła mi ogromną przyjemność, ale i zmęczyła trochę. Po jego wyjeździe dostałem strasznej gorączki, a w nocy miałem różne widziadła. Księżna Ada przyszła do mnie, usiadła na brzegu łóżka i położyła mi ręce swe na czole. Czułem je miękkie, ciepłe, i od nich szły po mnie dreszcze. A ona pochyliła się i szepnęła: »Mon petit Bolek...« Obudziłem się — tak szczęśliwy ach, tak szczęśliwy!... Leżałem cicho, aby jej nie spłoszyć. I powoli znowu zapadłem w półsen. Ale ciężki - coś mi leżało na piersiach kamieniem, w uszach szumiało —

mnóstwo głosów zaczęło koło mnie krzyczeć — jakieś figury okropne, Żydzi, oberwańcy snuli się po pokoju — czegoś ode mnie chcieli, coś zabierali, wynosili... Aż naraz zrobiło się cicho — drzwi się otworzyły ostrożnie — i księżna Ada wyjrzała. Była taką, jaką ostatni raz widział przed moim zasłabnięciem w Nizy. Przyszedłem do niej o południu umówić się o przejażdżkę automobilem — wyszła właśnie z kąpieli. Na to cudne swe ciało narzucony miała

peniuar ognisto - czerwony, a na plecach rozrzucone te
olbrzymie, bajecznie
złote włosy. I teraz we śnie tak wyszła do mnie. Jedną ręką
zbierała fałdy na
piersiach, drugą na mnie kiwała... Zrozumiałem, że teraz
będzie moją. Nakoniec!
Nakoniec! To, co mi obiecywała zawsze, a czego nie
dotrzymała nigdy, nakoniec
się stanie. »Idę!« — zawołałem — i wyskoczyłem z łóżka i
pobiegłem do otwartych
drzwi. Ale co się stało — nie wiem, bo ona znikła, a Maciej,
Maciej en personne
— wszedł, wziął mnie na ręce, zaniósł do łóżka, okrył i zaczął
coś gadać.
Ach, majaczenia senne!
Ciekawość, czy, gdy się przebudzimy po tamtej stronie życia,
całe to życie nie
wyda

nam się takim sennem, gorączkowym majaczeniem, a tam
dopiero zacznie się
rzeczywistość?
Ale to wszystko razem mnie wyczerpało. Wczoraj przez cały
dzień chory byłem, a
dziś ledwie się na parę godzin z łóżka dźwignąłem.
Jak ślicznie na świecie! Kilka ciemnych róż rozkwitło mi pod
oknem — z tych, co
to mama najwięcej lubiła. Biedna mama! gdzie ona teraz?...
Bocianki młode już się wykłuły. Stary bocian porządnie teraz
pracować musi, aby
im pożywienia dostarczyć.

czerwca. Bardzo mi dzisiaj dobrze. Taki się czuję zdrów i silny! Wstałem wcześniej i oszczędłem wszystkie klomby, aż do dębu. Może doprawdy to źle, że tak mało ruszam się? Gdybym więcej chodził, nabrałbym sił. Bo też ci doktorowie, to tylko rozmazać umieją. Będzie taki opychał mnie kreozotem, opajał mlekiem, gadał o odżywieniu, a nie trafi na taki prosty pomysł, abym się przeszedł po ogrodzie. Ale co oni tam wiedzą! Co ich to obchodzi.

Od owych odwiedzin Strochowskiego, dawne wspomnienia mi się roją. Księżna Ada stoi mi ciągle w myśli... Dziwne to, były chwile! Poznałem ją w Warszawie, na balu. Stałem naprzeciw drzwi w tej wielkiej żółtej sali, gdy nagle, na tle żółtej portyery zobaczyłem ją. Była w blado-żółtawej sukni, z której wykwitwały jej pyszne ramiona i jej głowa, uwieńczona złotymi włosami — wspaniała, królewska, jak posąg ze słoniowej kości i złota, a owiana takim dziwnym blaskiem, jak gdyby słońce wewnątrz siebie nosiła. Potem byłem jej przedstawiony i ona mi podała rękę i powiedziała: »Usiądź pan przy mnie i baw mnie, bo się nudzę...« I odrzuciła trochę w tył głowę, i patrzyła na mnie, a jej usta poczęły się trochę rozsuwać i drżeć na białych zębach.

Wyszedłem osłupiały. Takiej dotychczas nie spotkałem.
Ma się rozumieć, że zacząłem za nią chodzić, wystawać
godzinami po różnych
salonach, do których przyjść miała, a gdy pozwoliła sobie
przynosić kwiaty, to
kwestya wynalezienia nadzwyczajnego storczyka lub rzadkiej
odmiany róż, stała
się dla mnie kwestyą... życia lub śmierci.

A takich, jak ja, było kilku: Strochowski, dwóch
Czarnomińskich, Gucio, Łącki,
baronek i t. d. Ją to bawiło. W Warszawie, gdzie księżę miał
tysiączne stosunki,
ona musiała bywać dużo; a będąc najpiękniejszą i jedną z
pierwszych urodzeniem,
stanowiskiem, urzędem, była też wszędzie sadzana na
pierwszem miejscu i otaczana
najwybitniejszymi osobami, nie zawsze wesołemi. Nieraz się
nudziła, przy nas
więc odpoczywała. Dla nas miała specjalne godziny — ranki
gdy owiniętej w
peniuar, z włosami rozpuszczonymi na plecach, przynoszono
pierwsze śniadanie, —
a potem szare przedwieczne godziny, gdy, wróciwszy z
miasta, kładła się na
szezłagu, zanim nadeszła pora wieczornej toalety. Męża wtedy
nie było nigdy i
obcych nie przyjmowano. A myśmy się schodzili paczką, z
kwiatami, z cukierkami,
z najnowszą plotką, z ostatnim skandalikiem, z kupletami
operowymi, z

wiadomostkami z za kulis, nieraz z gotowem dla niej przedstawieniem. Szczególnie Stoch z Guciem umieli świetnie dawać przedstawienia. Ona śmiała się tym dźwięcznym, dziecinnym śmiechem, któremu równego nigdy nie słyszałem — żar-

towała, opowiadała, a czasem ślicznym głosikiem coś zaśpiewała. Raz, tak się rozbawiła, tak jej było z nami wesoło, iż powiedziała: »Nie! cokolwiek się stanie, na ten nudny obiad do generałowej nie pójde. Sprowadzimy tu sobie obiad i cały wieczór przepędzimy razem. Ale co powiedzieć Józefowi?« Zamyśliła się i raptem parsknęła śmiechem: »Gdyby się dowiedział, że ja tu z wami... byłby wściekły! Ale co mi tam. Mam migrenę... leżę w łóżku... jestem umierająca... i już! Posłano więc do księcia z oznajmieniem, że pani ma migrenę i kładzie się do łóżka, a my zakrzatnęliśmy się około obiadu. Księżna Ada nakryć kazała w swoim sypialnym pokoju, i w pysznych humorach zasiadać właśnie mieliśmy do stołu, gdy do drzwi zapukano. Ona szepnęła do nas: »Chowajcie się!« i zdmuchnęła lampę. W jednej sekundzie ulotniliśmy się. Ja znalazłem się w ubieralni, Stoch jakoby pod łóżkiem, jeden z Czarnomińskich w szafie, i nastąpiła chwila ciszy. Pukanie

się powtórzyło. »Kto tam?« — spytała księżna Ada. — Chora
jestem, nikogo nie
przyjmuję.« — »To ja — odezwał się głos księcia. —
Myślałem, że się może na ten
obiad

zdecydujesz — generałowa tak prosiła...« — »O, wielkie
rzeczy! generałowa! Jedź
sam, ja się ruszyć nie mogę«. — A nie pozwolisz mi wejść?«
Chwila wahania. —

»Owszem, jeśli chcesz koniecznie. Ale nie radzę — głowę
sobie rozbijesz, bo tu
ciemno zupełnie«. — »A więc, dobranoc. Szkoda, że nie
jedziesz«. — »Cóż robić!
Dobranoc«. — Znowu chwila ciszy. — Oddalające się kroki
biednego księcia. — I
naraż ze wszystkich kątów, z pod łóżka, z szafy, z za firanek,
ogromny wybuch
śmiechu!

Boże! jakżeśmy się bawili dnia tego! Nigdy księżna nie była
tak urocza, nigdy te
oczy takich błysków nie, rzucały, nigdy tak się nie śmiały jej
usta.

I tego dnia zaczęło się moje szczęście — dotychczas nie
wiem, jak to nazwać?

Dnia tego, gdyśmy wychodzili, księżna wciągnęła mnie
napowrót do salonu, wzięła
głowę moją w te swoje białe ręce i pocałowała. »Podobasz mi
się, petit Bolek« —
szepnęła. Myślałem, że padnę.

I odtąd dziwne było moje życie. Było to coś, jak sen, jak halucynacya. Zaczęłam pić — piłam ciągle, tak, że wielu rzeczy z tej epoki prawie nie pamiętam. Wiem, że wkrótce potem, jakoś na wiosnę, zna-

lażem się na Rivierze. Był tam i Stroch i baronek. Ciągle gdzieś szliśmy, coś kupowaliśmy, graliśmy w ruletkę, obrzucaliśmy się kwiatami... Ona była coraz piękniejsza, coraz bardziej słoneczna, w tem gorącym słońcu południa. Ale tam była już inna — stroniła od nas trochę. Znalazł się jakiś sir Charles, który nas nie lubił, a ona musiała się z nim liczyć, gdyż widocznie miał do niej prawa. To odkrycie było dla mnie w pierwszej chwili okropne. Słyszałem bowiem to i owo, ale nie wierzyłem. Wkrótce jednak uspokoiłem się. Jakto! jabył śmiał ją sądzić! ją krytykować! Już jeśli kto, to ona stała ponad prawem, ponad wszelkimi zasadami, ponad światem całym. I jeśli co robiła, to dobrze robiła.

A nawet — teraz to rozumiem — na samem dnie duszy, pocieszyła mię ta świadomość, i wznieciła nadzieję... Wszak jeśli może być sir Charles, to dlaczegóżby nie ja?... Chodzi tylko o zdobycie. Zdobywałem więc. Zaczęłam złoto garściami przed nią rzucać, Najprzelotniejsze

jej fantazye wprowadzałem w czyn. Rzekła raz, śmiejąc się:
»A jabym chciała mieć
domowego niedźwiadka — zamiast lewretki«. I w tydzień
potem, złapany w la-

sach Kamilowskich roczny niedźwiadek przybywał do Nizzy i
w obroży, na której
lśnił brylantowy jej monogram, na złotym łańcuchu
prowadzony przeze mnie, robił
swoje entrée do buduaru księżnej. Sir Charles był wściekły.
Nawet książkę wydał
mi się niekontent. A ja zdobyłem sobie u niej dobrą markę.
»Petit Bolek caca« —
powtarzała, mrużąc do mnie oczy.
W kilka dni jednak znudził ją niedźwiadek i zechciała
automobilu. Zanim się sir
Charles obejrzał, ja miałem już swój — prześliczny faetonik
na dwie osoby — i
pod parasolem ze złotych róż, powiozłem ją na pierwszy
spacer. Była zachwycona,
rada, prawdziwie wdzięczna. »Podobasz mi się... podobasz mi
się...« powtarzała.
— »Więc?...« zaczynałem i chciałem wziąć jej rękę. — »Więc
co? Więc nic« — i
biła ramię różą po twarzy. »Grzecznym być — i niczego się
nie napierać! A może
kiedyś... A może kiedyś...« szeptała nagle - przymykała oczy
— a rękę kładła mi
na ustach.
Boże! Co się wtedy ze mną działo!

I coraz częściej mówiła mi: »A może kiedyś...« Tak, iż
wierzyłem, że mi tylko
doczekać i wytrwać potrzeba. A wtedy...

wtedy... choć umrzeć ze szczęścia! Paść trupem u jej nóg i nie
wstać. Odurzyć
się rozkoszą i zginać...

Tymczasem lataliśmy automobilem po górach i dolinach.
Sezon się przeciągał.

Odjechali Czarnomińscy, Strochowskiego ojciec wezwał do
siebie i zatrzymał na

wsi, ja jeden z naszej paczki pozostałem. Pieniądze płynęły z
rąk moich

potokiem. Tam daleko, w Kamilówce, dęby i sosny padały
pod żydowskim toporem — a

ja wciąż telegrafowałem do rządcy: Przysyłajcie pieniądze —
podpiszę wszystko,
co chcecie.

Aż pewnego razu, po szalonej wycieczce automobilem
dostałem zapalenia płuc.

Nieprzytomnego położono do łóżka.

Chorowałem długo, długo. Gdy wreszcie wróciłem do siebie,
na Rivierze nie było

nikogo. Księstwo już odjechali, sir Charles znikł, a na moim
stole piętrzyły się

listy i depesze i leżały rachunki hotelowe. Od niej nie było nic.

Otworzyłem jedną z depesz, najświeższą: »Kamilówkę
sprzedali za długi. lipca.

Wracaj, na miłość Boską«.

Odłożyłem papier na stół i nie poruszy-

łem się nawet. Czemże była teraz dla mnie Kamilówka,
mama, świat cały!
Byłem najniezwyklejszym z ludzi.

czerwca. Wczoraj pod wieczór dostałem silniejszej gorączki.
Krew znowu się
pokazała. Maciej zrzędził, że się nie szanuję. Mnie się zdaje,
że temu winna
niepogoda. Od paru dni mamy deszcz i chłód. Mnie wtedy
zawsze gorzej.
Dziwny jest człowiek. Przecież wiem, że żyć nie mogę, nawet,
w teorii, żyć nie
chcę. A jednak, gdy mi się pogorszy, jestem niespokojny.
Lękam się. Tak, po
prostu lękam się tego przejścia, tej nocy czarnej, co mię
ogarnie, tego
grobowego zimna, tego wieka trumny, co się nade mną
zamknie, i tej wiecznej,
wiecznej ciszy... Lękam się... że może doprawdy tu się
wszystko nie kończy...
»Dusza ludzka jest nieśmiertelna. Bóg Jest sprawiedliwy — za
dobre niebem
wyogradza, za złe piekłem karze«. Tak mówi katechizm.
Dawno mu nic wierzę. A
Jednak, czy pewny jestem, czy on kłamie! Ani tej, ani żadnej
innej pe-

wności nie mam — bodaj, że nigdy nie miałem.
Szczęśliwi ci, którzy są czegoś pewni!

czerwca. Ciągłe mamy deszcze. Brzydko i smutno. Już i książki i gazety mnie znudziły. Czasem Franuś przyjeżdża, ale jego rozmowa mnie męczy. Poczciwy człowiek, ale nie rozumiemy się na żadnym punkcie. Katarzyna dostała od kogoś jakąś maść cudowną. Tak prosiła, że pozwoliłem sobie wysmarować. Od kilku dni smaruje mię więc z największym pietyzmem. I wstyd się przyznać, ale doprawdy czuję się jakby trochę silniejszy. Łatwiej oddycham. Ot, do czego doprowadza choroba!

czerwca. Tak szkaradny czas! Zimno i deszczyk mży. Prawdziwy listopad! Aż mi się przypomniał dziś powrót mój do mamy. Było to po utracie majątku, po rozerwaniu się wszystkich stosunków światowych, po odpadnięciu od »towarzystwa«, po zniesieniu tysięcznych upokorzeń, gdyż, chociaż ani grosza już nie miałem, wie-

rzy ciele ścigali mię jeszcze, aresztowali mi rzeczy, obrzucali mię obelgami... Po kilkoletniej męczarni nad zdobywaniem sobie chleba, ja, ten złoty młodzieniec, wysubtelniony i przerafinowany do szaleństwa, ja, idealny kochanek

księżnej Ady, ja, bywalec najwykwintniejszych salonów,
towarzysz
najpiękniejszych kobiet, sportsman, klubowiec, wzór szyku i
elegancyi, ja, który
dotychczas w dziedzinie myśli tylko burzyć, wydrwiwać i
ośmieszać umiałem, a w
dziedzinie czynu byłem kompletnym zerem, ja, który sobie
nigdy niczego nie
odmówiłem! Tak, ja musiałem zarabiać na chleb. Nie była to
wcale alegorya! Nie!
Kawałka chleba nie miałem. I musiałem nań zapracować. I
przez pięć lat tak było.
Jaki to był chleb marny, to jeden Pan Bóg wie! Aż wreszcie i
tego zabrakło, bom
się rozchorował na dobre. I byłbym zmarł gdzieś w kącie,
gdyby nie miłosierdzie
pocziwej jednej duszy, o, bardzo niedystyngowanej duszy
Afrosinii, pokojowej w
chambres-garnies małego miasteczka, gdzie mię choroba
powaliła. Czuwała nade
mną, jak najlepsza siostra, a gdy tylko mogłem się utrzymać
na nogach, zebrała
mi nie wiem

już od kogo piętnaście rubli, odprowadziła na kolej, kupiła
bilet trzeciej klasy
i licznymi krzyżami pożegnała na drogę.
Dokąd miałem wracać? Naturalnie, do mamy. Póki trzymałem
się jako tako, robiłem
obrażonego za różne dawniejsze gniewy i wymówki. Ale teraz
już nie było rady.

Czułem się tak chory! Chodziło mi już tylko o to, aby
dojechać i umrzeć wśród
swoich.

A wiedziałem, że mama w ciągu tych lat kilku potrafiła jakieś
resztki

zrealizować, że kupiła tę willę i w niej mieszkała samotnie.

Wróciłem więc. Było to późną jesienią. Deszcz ze śniegiem
prószył, wiatr wył w

ciemnościach, wdzierał się pod mój paltocik i przeszywał mię
do szpiku kości.

Jechałem jednokonną doróżką, wlokąc się powoli po błocie.

Aż wreszcie zamigotały

światełka. Zajechałem.

Przez niezasłonięte okno spojrzałem do wnętrza. Pod lampą
siedziała mama.

Posiwiała trochę i zgarbiła się przez tych lat kilka. Jakieś
zmarszczki porały

jej czoło. Ale był dokoła niej spokój i jasność. I nagle wydało
mi się, że ta

kobieta czarno ubrana, z posiwiałą w troskach głową, po-

chylona tam nad robotą, jest uosobieniem wszystkiego, co jest
dobre na świecie.

A jej dom — to przystań cicha i bezpieczna, do której ja —
rozbitek —

przybijałem nareszcie.

Pamiętam, że gęste łzy zaczęły mi ściekać po twarzy — i
długo nie śmiałem drzwi

otworzyć. Czułem się niegodny...

Wszedłem na koniec. Mama, trochę przerażona, rzuciła na stół
robotę — wstała

prędko — przez chwilę nie mogła zrozumieć. Aż krzyk wyrwał się z jej ust:

»Bolku! Bolku!«

Upadłem przed nią na kolana — i płakałem, jak małe dziecko...

czerwca. Przyjechała Marylka. Wczoraj niespodziewanie się zjawiała. Poczciwa!

Przecież to niemałe z jej strony poświęcenie, taka długa podróż! w tym stanie!

Ale to taka dzielna baba, że nic sobie z tego nie robi. Tu pakuje, tu się

przenosi na drugi koniec świata, tu dziecko urodzi, tu znowu rusza. Przywykła —

powiada.

Przywiozła ze sobą swoją najstarszą Felicję. Śliczne stworzenie! Sześćioletnie

to jeszcze maleństwo, a jakie to już mądre! Przychodzi do mnie z rana, gdy kawę

piję, siada grzeczniutko na brzegu łóżka, składa rączki i mówi: »Ja wujcia

pobawię«. I opowiada mi o swych braciszkach, o mamusi i tatusiu, o lalkach, o kucyku.

I tak rozumnie patrzy swemi wielkimi oczyma! Tak dobrze wie, kiedy jestem

zmęczony i kiedy trzeba odejść. Mówi: »A teraz to ja pójdę«. Zeskakuje, poprawia

mi jeszcze poduszki, całuje moją rękę i wynosi się cichutko.

Ach, dobrze, że nie mam własnego takiego maleństwa, bo jeszcze ciężiej byłoby

umierać.

czerwca. Dziś rano Felcia mówi do mnie: »A my za wujcia codziennie się modlimy do Pana Boga«. — »Tak? A o cóż wy dla mnie prosicie?« — »My modlimy się tak: Panie Boże, daj biednemu wujciowi albo zdrowie, albo śmierć szczęśliwą! A potem mówimy Zdrowaś Maryja. To jest ja i Broniek mówimy, bo Ziutek jeszcze mały«. — »A cóż to jest śmierć: szczęśliwa?« — »To... żeby pójść do Nieba«. »I cóż — myślisz, że mi Pan Bóg pozwoli

pójść do Nieba*. — »O, pozwoli! Wujcio taki dobry — a teraz taki biedny, chory...« Urwała i zamyśliła się. Oczy jej wzniosły się do góry, wyjrzały przez okno ku błękitnemu niebu. — Czy widziały one w tej chwili jakieś niewidzialne dla naszych zmysłów rzeczy? Westchnęła i rzekła: »O, na pewno wujcio pójdzie do Nieba«.

czerwca, Wiem teraz, dlaczego szczególniej przyjechała Marylka. Przyrzekła mamie, iż nie da mi umrzeć bez spowiedzi. Przyjechała teraz obietnicy dotrzymać. Z wielką nieśmiałością, jękając się i spuszczać oczy, poruszyła tę kwestyę. Nie odpowiedziałem jeszcze nic. Przyrzekłem się namyślić.

I dlaczegożbym nie miał tego dla nich uczynić? Przez pamięć dla mamy, przez wdzięczność dla Marylki. W życiu nigdy dla nich nic nie zrobiłem. Dziś" nic więcej zrobić me mogę. Niech ta ofiara będzie im po mnie pamiątką.
Ofiara? — No, zapewne. Po tyłu latach, po takim życiu. I ten obcy człowiek, i otwieranie przed nim zamkniętych już

na siedm pieczęci wspomnień, i oskarżanie się o winy, i obnażanie się przed jego okiem — tego obcego człowieka, z innego świata, który ani zrozumieć, ani odczuć mnie nie jest zdolny. Tak! To ofiara.
Ale, czy jednocześnie nie błąka się w mojej duszy okruszyna nadziei? A może z tych mistycznych obrządków spłynie i na mnie trochę pocieszenia? choć parę kropel osłody, choć trochę sił na tę nieznaną drogę, w którą wkrótce wyruszę.
Może — jeśli naprawdę jest jakiś związek między tamtym a tym światem — jeśli jest Duch wszechmocny, który nami rządzi, może On używa tych widomych, sakramentalnych znaków, aby nam swą obecność objawić i podnieść nas do siebie...
Wszak katechizm uczy: Sakrament jest to znak widzialny łaski niewidzialnej.
Łaski! któż bardziej potrzebuje łaski ode mnie? Wszystko mię opuściło, wszystko

zawiodło. W niczem i nigdy nie znalazłem zadowolenia.
Filozofia, systematy
mędrców, myśliciele i uczeni, działacze i społecznicy, poezya,
sztuka i
marzenia, używanie, rozpusta, wino, hazard, kobiety, miłość
platoniczna, miłość
zmysłowa, bogactwo i rozkosze najwyszukańsze —
wszystkiego prze-

cież próbowałem. W chwilach najwyższego podniecenia,
tęskniłem do czegoś
jeszcze, — do czegoś jeszcze! W chwilach melancholii i
zadumy, gdy stawało
przede mną pytanie: POCO tu jesteśmy? dokąd idziemy? gdy
brałem do rąk książki,
gdy pytałem mędrców, cóż mi odpowiedzieli najuczciwsi?
»Nie wiemy«. Inni
stawiali mi systematy zawile, albo narzucali mi swe hipotezy.
I nigdy, nigdy mi
nie dali spokoju i zadowolenia dla duszy.
I oto dziś po zmarnowaniu życia, stoję u kresu i nic nie wiem.
I w mojej
umęczonej duszy niema nadziei — tylko jest trwoga, ach,
wielka trwoga!
Więc któż bardziej ode mnie potrzebuje łaski?...

czerwca. Marylka swego dokazała. prowadziła księdza,
odbyłem spowiedź i
Przyjąłem Sakramenty. Zrobiono z tego w domu wielką
uroczystość — nawrócenie

grzesznika — powrót syna marnotrawnego. — Katarzyna
spuchła od płaczu.

A ja — co czułem? — Albo ja wiem!

Czułem naprzód zmęczenie ogromne -trochę zadowolenia, że
biednej mamę wolę

spełniam, że Marylce mogę się czemkolwiek wywdzięczyć za
jej dobroć i że po
sobie zostawię dobre wspomnienie. Robiłem to nie dla siebie,
lecz dla nich.

Wiedziałem dobrze, iż zdrow i silny — nie zgodziłbym się na
to.

Ale potem — chyba, że jest doprawdy ukryta w Sakramencie
niewidzialna łaska! —

potem czar i na mnie działać zaczął...

lipca. Przeleżałem znowu parę tygodni. I teraz, gdy wstałem,
jeszcze czuję

się znacznie słabszym. W prawej stronie piersi mam, jakby
pustkę zupełną. Zdaje

się, że już tam niewiele pozostało — musiałem z krwią
wypluć wszystko, co tam

było. Bo teraz ciągle krwią pluję.

To zaraz po wyjeździe Marylki tak mi się pogorszyło. Dopóki
ona była, jako tako

się trzymałem.

Chociaż to niby nie sympatyzujemy ze sobą, smutno było się
rozstać. Wszakże to

jedyna dla mnie bliska osoba, a rozstajemy się na wieki.

Nigdy już i nigdzie się

nie spotkamy. Ona, poczciwa dusza! Ociągała się z wyjazdem.
Ale w jej stanie
taka

podróż mogła być niebezpieczną, więc już sam namawiałem,
aby jechała.

Małej Felci żal mi. To ostatni promyk wesołości w moim
życiu.

Teraz dokoła mnie tylko cienie i zbliżająca się śmierć. Ach,
czuję ją, widzę
wciąż przy sobie. Stoi cierpliwa i czeka. O, już niezadługo...
niezadługo.

Coraz mi słabiej. Już piszę z trudnością i to tylko pod wieczór,
gdy mi gorączka
sił trochę dodaje. Z rana prawie poruszyć się nie mogę. Wstaję
jednak jeszcze i
siedzę przy oknie albo na werandzie. Patrzą na świat i żegnam
się z nim.

A tak ładnie! Kwiatów koło domu mnóstwo; róże kwitną, te
ciemne, mamy ulubione.

Ptaki skaczą i świergocą, ciągle coś mówią do siebie. Bociany
gospodarują na
gnieździe. Już małe podrosły, uczą się latać, takie nieśmiałe,
niezgrabne!

Szczęśliwe bociany! Dzieła dokonały, powołanie wypełniły, a
więcej marzeń i
pragnień nie miały chyba. Pracowały, kochały, rodziły,
wychowały sobie
dziedziców, w wielkiej maszynie świata były kółkiem
pożytecznym. I są

zadowolone. Dość spojrzeć na ich miny, gdy stoją na brzegu gniazda,

spokojne, poważne, pewne siebie, żywy obraz istot, które mają czyste sumienie.

A ja wobec nich, czem jestem? O, mój Boże!...

lipca. W tej wielkiej ciszy, która mnie otacza, wracają do mnie, jak fale jeziora, obrazy mojej przeszłości... Słone, gorzkie fale... Ach, czemuż nie żyłem inaczej! Takim prostem, uczciwym życiem, zwykłego człowieka. Ach, czemuż!...

lipca. A jednak jest miłosierdzie nawet dla takich, jak ja. Niedarmo na dnie mej duszy utkwiała nadzieja, iż sakramentalne obrządki przyniosą mi trochę słodczy. Tak, przyniosły. Gdy posłyszałem słowa, do mnie mówione: Absolvo te a peccatis tuis — zdało mi się, że naprawdę grzechy moje i winy opadają z mej duszy. Jaka jest niezachwiana pewność siebie w tych słowach! Absolvo te! Ja ci odpuszczam! To działa, to suggestyonuje. Jakiż inny systemat filozoficzny, jakiż mędrzec, jakiż nawet najlepszy i największy czło-

wiek ośmieli! się w ten sposób przemówić?
Ludzie mówią, dowodzą, przekonywują, pocą się, kiwają
głowami, stawiają
przypuszczenia, snują logiczne wnioski, budują niebotyczne
rusztowania uczonych
zdań, i wiecznie wracają do jednego punktu: nic nie wiemy.
A Kościół powiada: Ja wiem. A ty, człowieku, nie badaj, ale
skłoń głowę i"
wierz.

Ludzie, w szalonym pędzie swym naprzód, w tym galopie
świata ku przyszłości, gdy
kto upadnie i powstać nie może, mówią co najwyżej: Szkoda
go! ale sam sobie
winien! I już dalej pędzą i już zapominają.
A Kościół przychodzi i powiada: Żałujesz za zło popełnione?
Bogu, który jest
miłością, wystarczy twój żal A więc: Absolvo te! Wprawdzie
Bóg jest
sprawiedliwością, więc oczyścić się musisz przez cierpienie,
zanim oblicze jego
ogłądać będziesz, lecz nie lękaj się! Masz tu braci, którzy
wciąż za ciebie
błagać będą, masz bezdenną skarbnice Chrystusowych mąk, z
której czerpać będą
dla ciebie ulgi. Nie będziesz opuszczony! Cały Kościół
wojujący tu jeszcze na
ziemi 'będzie ci

modlitwami pomagał, będzie cię i za grobem wspierał. Cały
Kościół tryumfujący

tam w Niebie będzie twego oczyszczenia i przybycia
wyglądał. Me będziesz
samotny!

Tak mówi Kościół i bierze tę chorą, biedną, drżącą duszę, tuli
ją do swego
macierzyńskiego łona, uspokaja, ogarnia, odpędza od niej
zwątpienia, wmawia w
nią wiare, i unosi w sfery szczęśliwsze, i daje spokój.
Może, dopóki jesteśmy zdrowi i szczęśliwi, dopóki czujemy w
sobie siły, niczem
zdaje się niezmożone, wtedy ta nauka Kościoła wzbudza
niedowierzenie i nie
zadowala. Rozumujemy, chcemy dowodów, wymagamy
logiki. Duch nasz buntuje się
przeciw tej nieomyślności, przeciw tym pętom, przeciw
dogmatom, których nie wolno
nawet roztrząsać.

Ale gdyśmy chorzy, słabi i biedni, gdy śmierć już bliska i nie
mamy sił, gdy
czujemy, że cała ta nasza istota, to nasze ja, z któregośmy byli
tak dumni, to
tylko kropla wielkiej rzeki, płynącej w kierunku, od wieków
jej wytkniętym, to
tylko zdziebełko trawy, co wyrasta i usycha na wielkich
łanach wszechświata, to
jedna kropla

deszczu, co wypada z chmury i ginie w ogromnym oceanie,
gdy zrozumiemy na koniec,
że jesteśmy niczem, że nic nie możemy, że nic nie wiemy, że,
jak liść oderwany,

musimy lecieć tam, dokąd nas wiatr unosi, a dokąd? — tego
nie wiemy, gdy już
sofizmaty nie wystarczają na pokrycie win, a winy te, jak
węże, głowy podnoszą,
gdy jesteśmy tak słabi, że już i myśleć nie umiemy, lecz tylko
lękać się i drzeć
— ach, wtedy jak błogo jest usłyszeć ten głos: Idź w pokoju
— Absolvo te!

lipca. Za dużo pisałem przeszłym razem. Już teraz wszystko
mię męczy. Nie
wiem, jakim cudem jeszcze żyję. Tak mi źle — tak mi źle...
Wszystko boli,
wszystko drażni, dzień i noc bez ustanku. Nawet przez sen
boli... boli... Może
to już czyścić?
Maciej i Katarzyna codziennie przychodzą wieczorem i
mówią przy mnie pacierze. I
owszem, niech mówią. Wszakże to jest ów Kościół wojujący,
który się za moją
duszę wstawia do Boga.
Przyrzekli, że po mojej śmierci, dopóki sami tu będą, tak co
wieczór przyjdą tu

modlić się za mnie. Więc czasem wyobrażam sobie, że mnie
już niema, a oni tylko
tu pacierze swe odmawiają. O! bardzo łatwo to sobie
wyobrazić! Moje odejście tak
małą robi różnicę. Zostanie puste łóżko — trochę gratów po
szufladach, a za to
na cmentarzu jedna mogiłka więcej. Ot, i wszystko.

lipca. Doktor już nawet dał pokój leczeniu. Przychodzi,
pogawędzi, poznosi mi
różnych wiadomości z miasta, ze świata, da proszek na sen,
zmierzy gorączkę — i
wychodzi. Nudzą go te wizyty.
Franuś ma teraz wakacje, więc przeniósł się tu, pocziwy! Ale
mało się widzimy.
Bo mię rozmowa męczy.
Wszyscy już pewnie czekają końca. A to tak się przewleka!
Już i ja czekam końca.
Taki jestem zmęczony...

sierpnia. Lepiej dziś spałem — wprawdzie po morfinie.
Trochę mi lżej. Więc tu
zapiszę jedną uwagę, która mię ciągle korci.

Oto, że legendy o strąceniu aniołów, o walce tytanów, o
Prometeuszu — to nie
legendy zamierzchłej przeszłości, nad którymi można głową
pokiwać i przejść do
porządku dziennego. Nie, to sprawa aktualna. Wieluż nas jest
dzisiaj tych
quasitytanów i Prometeuszów! Wstydzimy się wprost
powszedniego życia,
popularnych pojęć, prostej moralności i zasad, przez wieki
uświęconych.
Wzruszamy nad nimi ramionami, uśmiechamy się
pogardliwie. Jakto! mybyśmy się
zadowolili tem, co jest dane dla tłumu! mybyśmy stawali w
jednym rzędzie z

mydlarzami! jedlibyśmy z jednej miski! Ich wiara miałyby być naszą wiarą! Nie!

Więc idziemy szukać nowych dróg. Wdzieramy się na ten szczyt, z którego zobaczymy jak na dłoni »tamtą stronę«. Zdobywamy święty ogień — i mamy zamiar być »jako bogowie«.

Ostatecznie nicby w tem tak złego nie było, gdybyśmy, szukając dróg nowych, nie tracili starych z oczu i, gdybyśmy, w razie zbłąkania, mogli na nie zawrócić.

Ale nie! Giną one dla nas niepowrotnie, przysypuje je pył zapomnienia, porasta drań, mchy, i gdy, po błędnem kołowaniu na manowcach, chcielibyśmy może już za-

wrócić na wydeptane i bezpieczne ścieżyny, już ślad ich się zatarł. A siły nasze, nadwątlone dręczącą tułaczką, a energia wyczerpana, a wzmogło się jeszcze poczucie tęsknoty i pożądania, i wtedy lada przystań nas wabi, każdy głos syreni nas czaruje, i wędrówka, którąśmy rozpoczęli od wstrząśnienia bryłą świata, kończy się...

o Boże! jakże się licho kończy!

Mogę o tem mówić, bo wszakże tak ze mną było. Naturalnie — wiem — można mi powiedzieć, że nie byłem żadnym tytanem ani Prometeuszem, lecz po prostu

marnotrawcą i niedołęgą. Że nie po ogień święty sięgałem,
lecz po bardzo
prozaiczne i ziemskie rozkosze. Zgadzam się z tem zupełnie. I
gdybym był jedynym
w tym rodzaju, tobym nie mógł służyć za dowód. Ależ takich,
jak ja, jest tysiąc!
Jest ich coraz więcej. To przechodzi u nas w sport, w manię.
Każdy szanujący się
młodzieniec, każda »inteligentna« panna robi pesymizm, robi
zbuntowanego demona,
ostatecznie robi Płoszowskiego — ale coś zrobić z siebie musi.
Roi się u nas od
tych tytanów, którzy są w walce z bogami — nic innego nie
robią, tylko szukają
ognia świętego — a potem, z desperacyi, że go nie znaleźli,

zatapiają się na pociechę w winie — częściej w wódce, w
miłostkach, w rozpuście,
w brudach.

I oto jest strącenie aniołów. Tylko, że niestety, sami siebie
strącają, a w ich
upadku niema żadnej wielkości.

Gdy patrzę na bociany — a potem myślę o ludziach —
zazdrość mnie ogarnia. Jakie
to szczęśliwe dusze! Jakie zrównoważone! Nie buntują się
przeciw prawu, nie
zrywają więzów etycznych, spełniają powołanie, żyją, jak im
Pan Bóg przykazał.

W tem jest szczęście i dla ogółu ludzi. Może są wyjątki,
którym przystoją
Prometeuszowe loty, ale tylko wyjątki.

Miałbym o tem jeszcze wiele do powiedzenia. Ale zmęczyłem się... już nie mogę...

sierpnia. Od kilku dni bociany w wielkim ruchu. Pora odlotu się zbliża. Gdzieś po cichych łąkach zbierają się sejmy — radzą, obmyślają wielką wędrówkę. Już i młode ze starszemi latają na owe sejmy. Przez cały dzień prawie pusto w gnieździe. I wieczory teraz dłuższe — i chłodniejsze już noce. Coraz więcej cieniów dokoła mnie — aż zejdem w noc wieczną...

sierpnia. Trudno mi w łóżku uleżeć, tak przykro dusi! Siadam jeszcze przy oknie. Niech się jeszcze napatrzę na ten Boży świat, zanim oczy zamknę na wieki... Już, zdaje się, niezadługo... Tak mi coraz słabiej... coraz ciężiej... Tylko w duszy nastało trochę spokoju. Już się nie buntuję, już się zgadzam... na wszystko zgadzam... I wierzyć chcę...

sierpnia. Wstawać już nie mam sił. Ale doktor kazał łóżko przysunąć do otwartego okna. Patrzę na świat jeszcze. Dziś czy jutro muszą bociany odlecieć — Maciej mówi, że zawsze na Wniebowzięcie... Szkoda mi ich... Ale i ja już zaraz... zaraz... Dusi mnie — boli — brak tchu... Boże, bądź

miłościwi

sierpnia. Wczoraj wieczorem odleciały młode. Stare nocowały na gnieździe.

Dziś gdzieś latały, wracały, klekotały — potem znikły. A pod wieczór, znowu przyleciały, stanęły obok siebie — i stały tak długo — patrząc. Aż się zerwały, zatoczyły wielki krąg ponad gniazdem i poleciały w przestrzeń.

Bywajcie zdrowe, bociany — mędrce! Już was nie zobaczę nigdy...

Za dni kilka i ja polecę. Tylko, że wy wiecie, dokąd dążycie, znacie te morza, i te góry, i te kraje gorące, i rzek brzegi, do których wracacie — szczęśliwi, spokojni — po spełnionem zadaniu.

A ja — gdy za dni kilka zwłoki moje złożą do cmentarnej jamy — gdzie ja będę?...

Mój Boże! mój Boże!... a ja?... gdzie poleci mój duch?...

PANTOFELKI

Był dzień przyjęcia u pani Kity. Już z przedpokoju dochodził gwar rozmów,

zmieszane męskie i kobiece głosy, brzęk łyżeczek i filiżanek.
W pierwszym
salonie było jednak pusto, bo pani Kita przyjmowała zwykle
w swoim buduarze
Louis XV. Tam wśród złocień i rzeźb, wśród miękkich
gobelinowych barw, wśród
adamaszkowych połysków, statuetek, porcelanowych
drobiazgów, uwydatniała się
lepiej, niż w surowym salonie, jej subtelna postać, o bladym
kolorycie pastelu,
o tak wykończonych szczegółach, jakby ją rzeźbiła nie ze
zwykłej ludzkiej gliny
matka Natura, lecz co najmniej z Wedgwoodowskiej glinki
sam Flaxman.
Pani Kita wiedziała o tem, że jest stylową. Ceniła w sobie ten
dar Boży bardzo
wysoko i pielęgnowała go starannie — nawet z poświęceniem.
Nie uległa bowiem
nigdy pokusie angielskich kostyumów, cho-

ciaż w swoim czasie popielaty stanik hrabiny Maryi i biała
suknia taylor-made
pani Ninety przez kilka dni i nocy spokoju jej nie dały. Oparła
się pokusie.
Wytrzymała.
Wytrzymała potem i drugą, cięższą jeszcze próbę — próbę
secesyi. Była wprawdzie
chwila, że się już, już przechylała ku niej. Piękne swe blado-
złote włosy
związała w luźny węzeł nisko, nisko na karku, skronie oplotła
ich pasmami —

owinęła się w nieskończenie długą, w nieskończenie wąską
szatę, o płowych
barwach, o wielkich i dziwacznych kwiatach, z pośród których
jej twarz wykwiłała
jak narcyz biały — na szyję zarzuciła długi łańcuch o
dyskretnych blaskach — i
stała przed zwierciadłem.

Ach, Kito! — zawołał mąż — śliczna jesteś! Bardzo ci w tem
dobrze. Ubieraj się
tak.

Pani Kita długo i uważnie wpatrywała się w swoje odbicie.
Walczyła w niej
chwilowa fantazyja z zasadami. Wreszcie jednak westchnęła i
rzekła:

Nie, tak ubierać się nie powinnam. Szkoda, bo to ładne i
podoba mi się. Ale nie
mogę! Swój styl zatracę, a tego nie

wytrzymam. Tandety zaś z siebie robić nie chcę.

— Kiedyż powiadam, że ci w tem ślicznie.

— Mój drogi, nie znasz się na tem. Dziś tak mówisz, a w trzy
dni zbrzydłaby ci
moja secesyja. No, spójrz na mnie uważnie. Do secesyji trzeba
być płaską, jak
deska do prasowania — gdzież ja podzieję swoje biodra, swój
biust? Do secesyji
trzeba mieć oczy, jak młyńskie koła. A ja co? Mam rodzenki
w bułce — nic więcej.

A cóż pocznę ze swoją cerą, ze swoimi rumieńcami, z tymi
»dołkami na buzi«, o

których śniłeś za czasów narzeczeństwa naszego. A skąd wezmę tajemniczość, dramat? Praczucie — pragadanie — prapatozanie? Wreszcie nagą duszę, mój Boże? O gdybym była podobna do Krysi, albo do Heli! Ale tak — dajmy temu pokój. Le mieux est l'ennemi du bien. Zostańmy przy Ludwiku XV. I została. Wierna zasadom, stała w upodobaniach, z coraz większym pietyzmem oddawała się kultowi własnego stylu i własnych wdzięków. A wierność została wynagrodzoną, bo, choć lata mijały, choć trzydziestka dawno już przemknęła, choć twarze Krysi, Heli, hrabiny Maryi i pani

Ninety wędły powoli, pokrywały się mętnymi barwami, a ich postacie to nabierały zbyt obszernych wymiarów, to chudły i drobniały i traciły już czar młodości — pani Kita była zawsze tą samą śliczną, wytworną, wykończoną, jak statuetka z saskiej porcelany, »markizą«. I dziś, widząc ją siedzącą w niskiej bergere, z nóżkami skrzyżowanymi na stołeczku (poza była wiernie skopiowaną ze starego portretu), kiwającą wysoko ufryzowaną główką ku znajomym — widząc jej uśmiech wesoły, jej utoczoną figurkę pod jedwabnym stanikiem — i jej cerę bielszą od jaśminów, i jej delikatne

rumieńce — widząc tę młodość i to życie, co z niej stale tryskały, jak źródło niewyczerpane nigdy — wychodzący mówili do siebie półgłosem:
— Ależ ta się trzyma! Któżby jej dał więcej nad dwadzieścia lat! A ona — prawdę mówiąc — ma... At, lepiej nie liczyć!
A w buduarze pani Kity rozmowa wciąż szła lekka, błyszcząca, jak piłka tenisowa, przerzucana z rąk do rąk. Ona sama ją wiodła, czuwając bacznie, aby ani na chwilę nie osłabła i ku ziemi zbyt nisko się nie skłoniła — a także aby nie wzła-

tywała w zbyt górne sfery, dokądby niebezpiecznie i fatygująco było za nią podążać. Więc mówiono o ludziach, o modach, o miłości i miłostkach, o tem i owem. A interesujący — od lat dwudziestu — pan Czesław wypuszczał niekiedy aforyzmy, które wywoływały okrzyki, śmiech, zgorszenie — dalszą wymianę tenisowych piłek.
— Kto z państwa wybiera się dziś na bal do pani Ninety? — spytała pani Kita. —
Ma to być podobno bal monstre.
— Skąd oni biorą na takie zbytki! — westchnęła na kanapie podżyła dama. — Znam przecie ich stan majątkowy...
Ale przerwał jej młody kawaler z wysypującym się wąsikiem:

— Do kotyliona układają nadzwyczajne figury. Nasz wielki wodzirej mówił mi... —

Ale tu urwał i zaśmiał się. — O małym nie zdradził tajemnicy. Tymczasem interesujący pan Czesław nachylił się nad główką pani Kity i szepnął:

— Przypominam...

— Co? — odparła, wznosząc ku niemu śmiejące się oczy. — Nie pamiętam.

— Ach, kobieto! puchu marny! — zawołał — a przysięga wczorajsza?

— Jaka przysięga? — I śmiała się.

— Mój kotylion u pani Ninety.

— O, nie wiem — nie przysięgałam wcale. A pan dziś takie brednie wygadywał, że doprawdy...

Ale urwała i zaczęła słuchać tego, co mówiła pani Helena Imorska.

— Mówicie państwo o niespodziankach — a nie wiecie o największej, jaka nas tam czeka.

— Jaka? Jaka? — spytano.

— Oto wśród kotyliona odbędzie się całkiem oryginalna figura. Mała Tosia tańcować będzie z młodym Olszyńskim, z tym młodziutkim chłopakiem, co tak doskonale się ślizga — znam go, bo zawsze z moimi córkami się ślizgał. Po przetańczeniu pierwszego tura, uklekną przed rodzicami, a ci włożą im na palce... zaręczynowe pierścionki.

— Co! Jak! Ta mała Tosia! Alei to dziecko! Zaręczona? Nie może być!

Wiadomość zrobiła wrażenie. Dziwiono się, nie wierzono, wzruszano ramionami.

Trudno było jednak zaprzeczyć — Pani Helena Imorska krewną była i przyjaciółką pani Ninety. Nie mówiłaby takich rzeczy na niepewne.

— Tak, tak! Czas leci... — westchnął podstarzały pan.

I naraz cisza zaległa ładny buduar Louis XV.

Czas zaprawdę tu wleciał i powiał szarem skrzydłem po ludziach, po saskich porcelanach, po jedwabiach i kwiatach i potrząsnął szarym popiołem śmiejące się przed chwilą twarze.

Jakiś obcy dech musnął po nich — Jakiś dreszcz — Jakiś lęk —

Jakaś otchłań się tu otwarła —

Jakieś dalekie — dalekie widnokregi — a ciemne — a zimne — a nieskończone —

Jakaś Prawda się ukazała —

Milczenie trwało. Stawało się nieprzyzwoitem.

Pani Kita pierwsza się ocknęła. Była zbyt dobrze wychowaną, aby swoich gości nie

ochronić od niepotrzebnej zadumy. Więc, chociaż głosem trochę zmienionym,

szczebiotać zaczęła coś o wczesnych małżeństwach, o gorączce matek i t. d.

Goście jej byli również jak ona dobrze wychowani, więc podchwycili gorliwie

wątek rozmowy i snuto go dalej. Aż się wreszcie i żegnać zaczęto, obiecując sobie spotkanie na dzisiejszym zaręczynowym balu.

Została tylko pani Helena Imorska i pan Czesław.

— Dam państwu świeżej herbaty — rzekła pani Kita. — A może trochę likierów, co?

Pan to lubi... — Zadzwoiła i wydała lokajowi polecenie. — I zrobimy sobie une petite causerie — dodała, wtulając się napowrót w swoją bergere.

Ale zrazu une petite causerie nie szła. Coś zawisło w powietrzu i wisiało. Coś, co myśl krepowało i słowa tłumilo w ustach. Pani Helena zdawała się zajęta rozglądaniem fotografii, leżących na stoliczku. Pan Czesław milczał i ogień na kominku poprawiał.

Pani Kita znowu, jako gospodyni, sytuację musiała ratować. — Ależ ta Ninetka! — rzekła ze śmiechem — żeby tak spieszyć z wydaniem córki!

Przecież to nie ma sensu!

— Moja droga, jak się ich ma cztery... — zauważyła pani Helena.

— Cztery! na miły Bóg! — zawołał pan Czesław.

— I trzech synów jeszcze.

— Siedmioro! To wprost nieprzyzwoicie. A pan Konrad taki dystyngowany... Nie,

nigdybym go nie posądził o takie parafiaństwo. Pani Helena odwróciła się niecierpliwie.

— Mój drogi panie — rzekła — czy pan to mówi na seryo, czy żeby nas drażnić?

— Ale, gdzieżbym śmiał... Chociaż, panią rozdrażnić, to prawdziwa przyjemność.

Pani tak ślicznie się gniewa! A ładna kobieta rozgniewana — to czarujące! Lecz

tym razem, ja doprawdy...

— Zresztą, mów za siebie, Helo — przerwała pani Kita — bo co do mnie, zupełnie się zgadzam z panem Czesławem. Siedmioro dzieci! Zawsze miałam to im za złe.

Mówiłam to nieraz Ninetce.

— Kito! — Pani Helena była zgorszona.

— A tak, a tak! Do czego to podobne! Całe życie zmarnowane. Masz! Ninetka za rok może babką będzie.

— W wieku, gdy kobieta jest dojrzałym i rozwiniętym kwiatem, dalekim jeszcze od zwiędnięcia — gdy jej czar stał się świadomym, zupełnym, a tak działającym, jak dobrze wystaje wino... Ach, panie mnie znów o przesadę posądzą, ale muszę to powiedzieć. Niema nic nad czterdziestoletnią kobietę...

— Pod warunkiem, aby siedmiorga dzieci nie miała...

— E, panie Czesławie! Czy pan z nas drwi, czy chce nas pocieszyć? — oburzyła się

znowu pani Helena. — My, ja przynajmniej, pociechy nie potrzebuję. Nie mam jeszcze co prawda czterdziestu lat — ale bardzo już mi do nich blisko. I wiem bardzo dobrze, że mój czar, jeśli kiedy był, to dawno się rozwiął. Ale mam zato moje dwie dziewczyny, dobre, kochane dzieci — i przez nie drugą młodość i drugie życie przed sobą. Ja znowu po raz drugi będę się bawiła, będę się kochała, będę się zachwycała światem, życiem, pięknem... Ja, pomimo moich czterdziestu blisko lat, mam także piętnaście, mam także trzynaście. Ja żyję podwójnie. Ja nie mogę nigdy być starą. — O, dziękuję za takie życie per procuration! Wolę sama używać. Ależ każde używanie musi się skończyć — a wtedy co? No, Kito, bądź szczerą. Czyś nigdy nie żałowała, że nie masz dzieci? — Ja! Ani przez jedną chwilę! Nigdy nie czułam powołania do niańczenia. A pieluszki, rumianki, smoczki i t. p. rzeczy były mi zawsze wstrętne.

— Bo trzeba przyznać, że macierzyństwo wyklucza wszelką estetykę — zawyrokował pan Czesław.

— I nigdy ci się życie nie wydało pustem i marnem? I dom twój zimnym? I świat cały nudnym, bezsensowym?

— Nie. Na szczęście, nie nudzę się nigdy. Lubię pasyami świat, towarzystwo, ładne przyjęcia, ładne stroje — a to wszystko mnóstwo czasu zabiera. Lubię podróże, wycieczki, zwiedzania — lubię książki, nawet poważne — niech pan się nie śmieje, panie Czesławie! — i wcale nie desperuję, gdy mam czasami wieczór samotny. Siadam tu sobie, przy kominku — i czytam. A także robię coś i dla społeczeństwa — nie myśl, że jestem tak już do niczego! Jestem jedną z opiekunek ochronki św. Franciszka i bywam tam przynajmniej raz na tydzień. Widzisz! Cóżby mi własne dzieci więcej dały? No, przyznaj... — Nie, nie! Nie przyznam. Cudze dzieci nigdy nam własnych nie zastąpią — a troska o nie nie zapełnia życia i nie rozgrzewa duszy. Ale ty tego nie rozumiesz. — Masz rację. Jestem całkiem głupiutkie stworzenie. Ale to wiem, że jestem

swobodna, jak ptak. Chcę wyjechać — jadę. Chcę iść na bal — idę. Któż mi może przeszkodzić! Mój mąż tylko o tem myśli, aby mi dogodzić. Czy to nie miło? — Ach, Kito droga, jakże ci takiej swobody nie zazdroszczę! Ale, dobrze, że ci to wystarcza... — I pani Helena zaczęła się żegnać. Pan Czesław wziął także kapelusz do ręki.

— Na wielkim koniu jeździ ta pani przyjaciółka — rzekł. —
Macierzyństwo, dusza,
życie i t. d. i t. d. Ale temperament
ma...

— , ma! I ogromnie ją lubię — choć wiem, że mną pogardza.
Bo ja jestem »motyl
lekkomyślny«, »wietrzna istota« — bo po mej głowie wiatr
tylko goni — bo gmach
mojej duszy stoi na piasku — no, i tak w dalszym ciągu. Ach,
mój Boże, coż ja na
to poradzę! Chce pan jeszcze herbaty ?
— Nie, już raz wyjść muszę. Ale — gdyby pani była inną, niż
jest, toby jednak
była wielka szkoda.
— No — dla kogo?
— Dla wielu — dla wszystkich. A chociażby i dla mnie.

— E, panie Czesławie! Myślałam, że pan już zapomniał o tych
dawnych flirtach.

— Kiedy to, proszę pani, nie flirt wcale, tylko takie wielkie,
wielkie...
lubienie...

— Szczęście jeszcze, że pan nie mówi: miłość.

— Nie mogę mówić: miłość, boby mnie pani zaraz kazała za
drzwi wyrzucić. Szanuję
niektóre słowa. I pani także.

— O, przepraszam — ja nie tylko słowa szanuję.

— Wiem, wiem. Pani jest twierdzą niedostępną. Ale dlaczego
ta twierdza ma takie
oczęta błękitne — i tajcie cudne, falujące, złote włosy — i
takie ząbki, i takie

dołki tu, gdy się śmieje — i taki nosek ciekawy, i takie różowe
uszka z wielkimi
brylantami — i dlaczego ma takie rączki białe, i taką śliczną
nóżkę w złotym
pantofelku i w ażurowej pończoszcze, która się raz wraz
wysuwa z pod falbanek — i
dlaczego ma takie utoczone, wytworne kształty — i dlaczego
jest cała tak podobna
do ślicznego kwiatu — i wcale nie najeżona ostrokołem i
armatami?... Tego ja nie
mogę zrozumieć.
— Zdaje się, że pan wkracza w roman-

tyzm. Jeśli tak, to lepiej niech pan sobie idzie. Bo, doprawdy,
ja to już umiem
na pamięć.

— Pójdę już, pójdę. Ale kotylion dzisiejszy mój? Na pewno?

— Na pewno.

— Ach, jak ja panią... lubię, pani Kito!

— Dobrze, dobrze! Ale proszę mi tego nie mówić.

— Ale rączki można ucałować na pożegnanie?

— Ach! To... można...

I pani Kita wyciągnęła obie swe białe, pulchne i pachnące
rączki do pana

Czesława, a on je z wielkiem amatorstwem do ust poniósł.

Po chwili nie było już nikogo w buduarze Louis XV. Ogień
dogasał na kominku.

Niedopita filiżanka herbaty stygła na konsoli. W wazoniku
wiedło kilka róż.

Pani Kita krzątała się jeszcze po pokoju, porządkowała
fotografie, poprawiała

poduszki na kanapce. I myślała o tem, co przez cały dzień
widziała i słyszała.

Więc o nowym a bardzo gustownym kapeluszu pani
Włodzimierzowej — o
zapowiedzianych zaręczynach małej Tosi — o tem co mówiła
pani Helena: »Cudze
dzieci nigdy własnych

nie zastąpią, a troska o nie nie zapelnia życia i nie rozgrzewa
duszy«. Pewnie
że tak — ale, co mi tam! — O panu Czesławie...
— Już się staje cikliwy — rzekła do siebie — i łysieć zaczyna.
Możeby go się
pozbyć? Acha! tak. A któż mi pozostanie?
Bo z tego długiego szeregu balów, rautów, przyjęć i zebrań, co
przez lat tyle
były jej życiem — z tego nieskończonego pochodu ludzkich
postaci — strojnych,
uśmiechniętych, rozgadanych — z tej zbitej wiecznie dokoła
niej gromadki fraków
— któż pozostał? — Rozleciało się to po świecie — pożeniło
— posiwiało —
ociężało — i zasnuło się w jakąś mgłę... Inni nadeszli. Ale nie
tacy, nie swoi,
nie! Jeden pan Czesław zawsze wierny. Chociaż... ach, taki
już nieraz nudny, mój
Boże!
Westchnęła.
Ale była już ósma na zegareczku z saskiej porcelany. Ósma!
Należało choć na

godzinę zrzucić gorset, włosy rozpuścić, twarz wysmarować kremem Simon — albo nie, może lepiej Ophélie — i spokojnie, cicho poleżeć, a jeśli można, to i zasnąć przed balem. Inaczej — do czegożby była podobną ?

Przeszła się do sypialnego pokoju i zadzwoniła na służącą. W sypialni paliła się przyćmiona lampa. Pani Kita wzięła ją do ręki, odsunęła abażur i zbliżyła się do łóżka. Leżała tam przygotowana na dziś wieczór toaleta — cudowna kombinacja połysków jedwabiu z obłoczkami gazy, odcieni liliowych i srebrnych z bladością porzucanych gdzieś róż, mglistych przeźroczy z ogniem pięć brylantowych. — Ładne — szepnęła pani Kita — będzie mi do twarzy. Tylko, co wziąć na szyję? Kolię brylantową? Czy perły? Czy może tylko gazową przepaskę? A do włosów -wpiąć róż parę? Wzięła ze stolika leżące róże i zbliżyła się do zwierciadła. — Proszę jaśnie pani — rzekła pokojowa, wchodząc z paczką w rękę, to ktoś przysłał ubranie dla dzieci z ochronki. Ach, jak to dobrze! Bardzo tam potrzebne — zawołała pani Kita, — Połóż tam, proszę — zaraz zobaczę. A tymczasem, Kasiu, przygotuj mi szlafrok — i przynieś mi tu na tacy coś do zjedzenia. Położę się jeszcze przed balem.

Kasia wyszła. A pani Kita rozcięła sznurek przyniesionej paczki.

Były tam koszulki dziecinne, kilka sukienek, parę fartuszków — i w osobny papier zawinięte — żółte pantofelki. Całkiem zwyczajne, zawsze już trochę wykrzywione i nie świeże — pantofelki żółte.

Wysunęły się z papieru i na stół przed panią Kitę upadły — i stanęły tak przed nią, jakby gotowe do biegu — takie żywe, takie drgające jeszcze temi dziecinnymi nóżkami, co się w nich mieściły.

Pani Kita stała nad nimi nieruchoma. Ręce jej opadły wśród fartuszków i koszulek — a oczy wpiły się w te dwa żółte pantofelki — i patrzyły...

patrzyły...

I nagle - ogromna fala łez buchnęła jej do oczu - łez wielkich, ognistych, ciężkich... A usta różowe wykrzywiły się boleścią — i wyszedł z nich jęk:

— A ja... A ja... Nigdy?...

Nigdy! Nie zatupią koło niej małe nóżki rozbiegane — nie obejmą jej szyi drobne ramiona — żadna buzia dziecinna nie przytknie się do jej twarzy, szepcząc:

Mamusiu!« — żadna jasna główka do jej kolan się nie przytuli.

Nigdy! Nie zatętni koło niej życie nowe,

nie zaświegocą wiośniane głosy. Nie zajaśnieje żadna
Przyszłość.

Nigdy! Nie odczuje ona tej boskiej rozkoszy tworzeni a —
przelewania siebie w
wieczność. Nie zażyje tych skarbów, co w niej tkwią przecie
— pozostanie
bezużyteczną, niepotrzebną nikomu — igraszką — bawi —
dełkiem... bez duszy — bez
Przyszłości.

Owszem, Przyszłość, się ściele, lecz samotna, pusta, coraz
ciemniejsza.

Przyszłość — a więc, codzienna walka o zachowanie
wdzięków — codzienna
kapitulacja, codzienny targ ze starością, która wkońcu
zwyciężyć musi — głucha
rezygnacja — niemoc, choroba, nuda, smutek, opuszczenie
coraz zupełniejsze — a
wreszcie, nieunikniona, nieodwołalna i konieczna — śmierć.
Oto jedyna Przyszłość, która ją czeka. Samotność i śmierć.
Widziała ją — wyraźnie
A wobec takiej świadomości, ach! jakże śmiesznem, wprost
śmiesznem do rozpuku
było jej życie! I te stroje, i te bale i te
style, i te buduary — i przyjęcia, i gawędy, i filtry — i te
brylanty, i
fryzury, i róże.

To wszystko — wobec samotności śmierci które szły — szły
ku — niej — a których
już nic w świecie wstrzymać nie mogło.

Ach, jakże śmiesznem i głupiem było
to życie!

I pani Kita wybuchnęła wielkim, ogromnym śmiechem. Aż się
pierś jej rwała pod
jedwabnym stanikiem — śmiała się,
śmiała...

Lecz z oczu płynęły łzy, zmywając puder z policzków i
padając ciężkimi kroplami
na małe, na wydeptane dziecinnemi nóżkami pantofelki
żółte...

Tego wieczora pan Czesław napróżno wyglądał swej damy do
kotyliona. Pani Kita
nie ukazała się na balu.

MODLITWA JADWIGI

Wbiegła do katedry zamkowej i rzuciła się na kolana przed
obrazem Ukrzyżowanego.

Pierś jej dyszała gwałtownie pod jedwabiem wspaniałej szaty,
serce biło, każda

kropelka krwi pieniała się gniewem, buntem, rozżaleniem.

Oczy jej szklily się

łzami. Usta jej drżały, miotając urywane słowa.

Wbiegła i rzuciła się do stóp Ukrzyżowanego.

— Nie mogę, Panie... nie mogę... — mówiła. — Kocham go...
nad życie, nad koronę,

nad wszystko inne go kocham!... I jestem mu prawie
poślubioną... Jakże go

porzucę!... Ach, Panie!...

...Oni mnie oderwać chcą od niego, od ukochanego małżonka
— i oddać temu... temu
dzikiemu Litwinowi!... Lecz ja, Panie, nie mogę... Nie chcę!...
Podniosła głowę i dumnie spojrzała
przed siebie.

— Królową jestem — i przewodzić nad sobą nie dam. Przed
Tobą klęczę, Panie, lecz
przede mną — niech oni klękają! Królową i panią tu jestem!
Butna krew Andegawenów zagrała w jej żyłach i rumieńcem
nagłym pokryła jej twarz
liliową i cudną.

— Muszą mnie usłuchać! A jeśli nie zechcą Wilhelma na
króla, to... to porzucę
ich niewdzięcznych! Porzucę Polskę, koronę złożę — i pójdę
za nim... Ach, pójdę!
Tak jak ja go nie kocham dla jego raku skiego księstwa, tak i
on mnie nie dla
mojej korony miłuje. Porzucę to wszystko i będę szczęśliwa...
z nim! z

małżonkiem ukochanym!

Tak, wszystko porzuci. Nie dba o tę koronę, której ciężar na
młodych skroniach —

ach! jak dotkliwie już uczuła! O niego dba, o Wilhelma. Do
niego serce jej się
rwie, do niego tęskni, jego pożąda.

Opuściła głowę na złożone dłonie i rozmarzyła się.

Wszak ci on był od początku życia jej ukochaniem.

Braciszkiem miłym,

przyjacielem, towarzyszem. Pamięta, jak przez sen, uroczystą
chwilę dziecięcych
zaślubin. Katedrę w Hainburgu, jarzącą od świateł —

owianą dyniami kadzideł, wonną od kwiatnych wieńców,
lśniącą od złotogłowiu,
drogich kamieni, szat wspaniałych, zbroi błyszczących, od
proporców i chorągwi —
i ich oboje, malutkich, stojących obok siebie przed ołtarzem.
A potem, złote na
paluszkach obrączki. A potem, na wspania łem, szerokim
łożu, pod purpurowym
baldachimem, dwie małe pościółki białe — piastunki
układające ich do snu obok
siebie i śpiewające im na dobranoc jakąś starą kołysankę... I
ten smaczny sen
dziecinny u boku pięcioletniego małżonka!... A potem,
wspólne zabawy, wspólne
nauki, wspólnie sylabizowane litery na wielkich księgach,
wspólnie śpiewane
pieśni przy arfie lub przy lutni, wspólne rojenia, marzenia,
projekty
przyszłości świetnej, szczęśliwej... A potem łzawe rozstania a
radosne powroty —
i pierwsze pocałunki młodzieńcze, kiedy to krew gorąca
zdawała się kipieć im w
żyłach i płomieniem na usta wybuchać... A potem, wyjazd do
Polski ze wspaniałym
orszakiem po berło i koronę, którą wkrótce z nim podzielić
miała... Tryumfalny

pochód wśród radości i dziękczynień ludu. Objęcie tego tronu
ojców i dziadów,
tej prastarej piastowskiej sto —

licy. I otwierająca się przyszłość, pełna czaru i blasku.
I zawsze przytem myśl o nim i o wspólnem z nim życiu
szczęśliwem, i o wspólnej w
długie, długie wieki chwale.
I myśli tej nie zaćmiewała ani niepewność, ani oczekiwanie
długie, ani niechęć,
którą tu
spotykała, ani nawet zjawiające się poselstwo Jagiełły. Bo tak
swego pewną była!
Któżby śmiał deptać kościelne śluby — i własne jej uczucia?
A wreszcie — przybycie Wilhelma do Krakowa, i te urocze,
cudne chwile, spędzone
z nim razem pod sklepieniem gościnnem franciszkańskiego
refektarza! Te
jasne chwile szczęścia, miłości i wesela, u boku ślicznego
małżonka, w otoczeniu
życzliwego dworu i braciszków. I to rosące z dniem każdym
uczucie!
Ach, bo jakże pięknym był Wilhelm!
Gdy ujrzała go teraz młodzieńcem — w lazurowej jace, od
złota migocącej, z
misternie utrefionymi lokami, spadającymi na ramiona
jaśniejącego młodością,
życiem, kochaniem, a takiego dworskiego, tak umiejącego
gładko przemówić i
zręcznie się skłonić, i tak spojrzeć błagalnie swemi cudnymi
oczami, i tak się

uśmiechnąć

czule i tak rękę ścisnąć znacząco... Ach, gdy go takim ujrzała,
po tych dwóch
latach rozstania, uczuła, jak jej serce wprost taje z miłości, jak
się zamienia
w rozpalony płomień i leci ku niemu; jak nieposkromiona
żądza wstrząsa jej
ciałem i burzy każdą kropelkę jej krwi.
A teraz, chcą oderwać ją od niego — i oddać Jagiełłę w
małżeństwo! I bronią mu,
jej prawnie zaślubionemu małżonkowi, wstępu na zamek! Ją
więżą, bramę zamykają
przed nią — przed królową! Wszakże przed chwilą przemocą
wyjść chciała i biedz
do Wilhelma, Lecz brama była zamknięta. A gdy porwała
topór z rąk straży i siłą
przebić się chciała, okute zamki i żelazne sztaby nie złamały
się pod naporem
jej ręki. I była niewolnicą — ona, królowa, we własnym
zamku!
I przybiegł stary kasztelan, i do nóg jej upadł — i obejmował
jej stopy, i siwą
głowę tulił do jej kolan. I prosił i błagał. Lecz nie otworzył
bramy...
Ach, o cóż to błagał stary Dymitr z Goraja?...
Błagał, aby poświęciła siebie i szczęście własne dla ojczyzny
szczęścia. Błagał,
aby za cenę serca swego kupiła ojczyźnie po —

kój, siłę i chwałę niezmierną. Kościołowi owczarnię nową.
Ludzkości nową
rodzinę. Aby wzięła w rękę pochodnię i poszła z nią w te
biedne kraje, gdzie
świt wzejść nie może. Aby dokonała rozpoczętego przez
Łokietka i Wielkiego
Kazimierza dzieła. Aby lud swój powiodła na szerokie drogi
— na jasne drogi
pokoju...

Za cenę serca swego... Jednego serca...

Jadwiga podniosła głowę i w twarz Ukrzyżowanego spojrzała.
— Prawdaż to Panie? — spytała. — Możnaż to wszystko za
cenę serca jednego kupić?

O, powiedz, Panie! Bo... jeśli tak...

Łzy obfite trysnęły jej z oczu i, kryjąc twarz w dłonie,
zaszlochała.

Ach, jeśli te wszystkie wspaniałe dary są naprawdę w jej ręku,
jeśli ona jedna

sięgnąć po nie może i rozsypać je hojnie na ludy — to... czy
godzi się

wzdragać?... Królową jest i matką tego ludu — nie tylko
rozmiłowaną kobietą. I

niedawno tu, w tej świątyni, biorąc na skronie koronę Piastów
i miecz

przy pasując do boku, — ten miecz starodawny, Bolesławów
Szczerbiec, co na cztery

świata strony granice Polski rozszerzał, — i berło biorąc do
ręki, kładła palce

na Ewangelię — i przysięgała.

siegała szanować, przysięgała bronić i krew i życie w
potrzebie oddać za
ojczyznę...

Krew i życie...

A teraz, chcą od niej jednego tylko serca!

A ona się wzdraga — ona, królowa i matka tego ludu!

I nie tylko Polska wyciąga do niej proszące dłonie.

Chrześcijaństwo błaga.

Ludzkość czeka.

Lecz czy naprawdę ofiarą siebie zdobędzie cel upragniony?

Czy się nie łudzą

doradcy? Wszak już Łokietek z Gedyminem się wiązał,

wszakże dziad Kazimierz

pojął w małżeństwo Aldonę, Litwinkę. I cóż? Nie złączyły się

narody. Uporna

Litwa pozostała pogańską.

Więc i ona może nadarmo szczęście swe poświęci, nadarmo
serce złamie — to serce,

co przecież ma prawo do życia i do kochania!

— Mów, Panie! — zawołała — wskaż drogę! Niech wiem,
niech widzę!...

I splecione dłonie wzniosła ku Chrystusowi.

Na ciemnym krzyżu poruszyła się uwieńczona cierniem głowa
i w ciszy kościelnej

ozwał się głos:

— Patrz, dziecko, w przyszłość... I oto ujrzała.

Ujrzała naprzód wielką, lesistą krainę, w której lud biedny
krył się po numach

przed strasznym wrogiem, a często i przed własnym panem, i
drżał nieustannie,
gdyż nie tylko okrutną mu była wszelka ludzka potęga, lecz i
bogowie
niemiłosierni i groźni. Ujrzała krainę, w której pieśni były
smętne, płasów nie
znano, a małe dzieci miały już w oczach wyraz przerażenia,—
krainę, na którą z
trzech stron czyhała przemoc, a w której i swoi byli często
wrogami. Odzie nikt
nie kładł się do snu bezpieczny i nie budził bez trwogi.
I do tej smutnej krainy zstępowała ona, Jadwiga, niosąc jej w
ofierze skrwawione
i rozdarte swe serce, lecz i pochodnię ja — sną, pochodnię
wiedzy, wolności i
wiary. Brała lud ten pod swój królewski płaszcz i tuliła do
macierzyńskiego
łona. I światło jej pochodni wchodziło pod strzechy, wnikało
w serca, budziło
uśmiechy i nadzieje. Zamiast okrutnych bogów, wyrastały
krzyże — nie te czarne
na białem tle, obmierzłe

krzyże zakonu, lecz promienne Krzyże Odkupienia. Zamiast
okrutnych bojarów,
którzy, sami rabami książęcymi będąc, i lud swój gnębili, —
budzili się nowi
ludzie, wolni i z wolnymi zbratani. Ożywczy powiew z
zachodu przelatywał po
smutnej krainie. Podnosiły się czoła. W sercach nadzieja
zieleniała, jak kwiat.

I gdy przyszło do wielkiej wojny o życie i śmierć, o być albo nie być — trzy narody bratnie stanęły ramię przy ramieniu. Biały Orzeł torował drogę litewskiej Pogoni, a nad obojgiem Archanioł skrzydła swe rozpościerał i gorejący wyciągał miecz. I legł Zakon. I trzy narody bratnią unią święciły swoje tryumfy i odzyskaną Zmujdź, męczennicę, garnęły do siebie. I szły dni chwały. Śpieszyły ludy i narody do tronu Jagiellonów, korony swe kładły u ich stóp, losy swe kładły w ich ręce — w uniach się łączyły. Do nich zwracały się po światło, po sprawiedliwość i po opiekę. Pod ich wodzą szły zwalczać pogaństwo. I rozszerzyły się granice ich od morza do morza — i rosła ich sława na cały świat. I nie siłę ich oreża wielbiono, ' lecz mądrość ich, sprawiedliwość, ludzkość i dobroć.

A zapalona w Krakowskiej wszechnicy pochodnia rzucała dalekie, dalekie blaski. I przyszły dni klęski, dni łez i krwi, dni jęku i niewoli. Lecz nie były to dni rozpacz. Znowu stanęło ramię przy ramieniu, jak niegdyś na polach zwycięstwa — i trwały tym razem wiernie, niewzruszenie. I przetrwały burze, gromy i pioruny. Miotaly się złe moce w bezsilnej złości, aż przesiliło się zło, i blada zorza

zajaśniała na wschodzie. A serca i oczy podniosły się ku niej.
A wtedy najcięższa nastąpiła próba. Z ciemnych bagnisk, z
podziemnych czeluści,
zrodzona w błocie i w zgniliźnie — wypełzła Nienawiść.
Brzydka, dzika, uparta i
głupia, kłamstwem i brudem plując, sycząc i wyjąc, a czasem
łaskając się lub
świętymi hasłami potrząsając, wnącała się w zmęczone dusze,
odurzała zmęczone
umysły — i rosła — rosła — i głośno się chełpiła, iż cały
gmach wieków w gruzy,
w proch i w nicość obróci.
— Boże! I ty na to pozwolisz! — zawołała, zrywając się
Jadwiga.
Lecz oto ujrzała dalej.
Ciężkie krople krwi, co z jej własnego serca spłynęły i przez
długie wieki na
zie —

mię padały, były plennem ziarnem. Bo, gdziekolwiek padły,
tam wyrastały kwiaty,
bujne, czerwone, pachnące kwiaty Miłości — i zaścielały
ziemię całą, i pięły się
na gmach wiekowy, i obejmowały go ty — siącznemi
ramionami, otulały puszystym
płaszczem, wiązały mocnymi więzami — i coraz to świeższe i
bujniejsze, coraz
silniejsze i życiem coraz to bardziej tryskające chroniły stary
gmach od
rozkładu i ruiny. A z każdego kwiatu wytryskał płomyk — i
oświecał, i ogrzewał,

i ożywiał.

I gmach wieków stał nieporuszony, zwycięski — na swym
przedziwnym fundamencie
serdecznej krwi, jak na opoce, ugruntowany, obrzucony
wieńcem wciąż się
odnawiających kwiatów Miłości.

I minęła najcięższa próba. Znowu stanęło ramię przy
ramieniu, jak na polach
zwycięstwa, jak w dniach klęsk i niewoli. Nienawiść potworna
wróciła do swych
podziemnych czeluści. Biały Orzeł znów wyleciał wysoko,
torując drogę pędzącej
naprzód, wciąż naprzód Pogoni, a Archanioł miecz swój
gorejący wsunął do pochwy,
gdyż godzina walki minęła. Trzy narody zaś, jak trzy siostry,
wzięły się za
ręce, i poszły szerokimi drogami, ku jasnym

zorzom, śpiewając trzema językami hymn na cześć Miłości.
Duch Jadwigi wyszedł z ciała i poszedł też z nimi w górę — w
górze — ku jasnym
zorzom — ku słońcu — ku nieśmiertelnym błękitom.
Wyleciał wysoko ponad obłoki,
ponad gwiazdy — do samego ogniska jasności. I pił tę jasność
przedwieczną, tę
mądrość — , tę wiedzę — poił się niemi. I widział...
Widział, czym jest sekunda życia ludzkiego, czym kochanie
ludzkich serc, czym
rozkosz ciał, czym zamiary i marzenia, czym mydlana bańka
szczęścia, czym blask

i sława, czem istność państw i królów po tęga, czem ludzkość
cała...

Czemże to wobec wiekuistej Miłości, wobec wiekuistego
Dobra!...

Ach, chwilą tylko, marnością, ulotnym Prochem, obłoczkiem
dymu z ofiarnego
ołtarza!...

Lecz i dym ofiarny może być dymem Abła, idącym do góry,
lub dymem Kaina,
pełzającym po ziemi...

A więc... a więc...

Jadwiga złożyła ręce i zaczęła się modlić:

— Boże, który sam jesteś Dobrem, i Prawdą, i Miłością! Tyś
mi dał widzenie rze —

czy przyszłych, i ukazałeś mi, w czym leży dobro mojego
narodu. Widzę, Panie, że
wobec tego moje własne serce jest m — czem. Gotowam je
poświęcić, gotowani
wyrzucić zeń kochanie i pragnienie szczęścia, gotowam je,
rozdarte i krwawe,
położyć na kamień węgielny pod wielki gmach przyszłości.
Gotowam je dać, aby zeń
wytrysło to źródło Miłości, aby zeń wykwitły te kwiaty, aby
się zapaliły te
pochodnie. Ale, Panie, czy miłość ta przetrwa wieki? czy
kwiaty nie zwiędną? czy
nie zgasną pochodnie?
Podniosła głowę i oczami szukała oczu Ukrzyżowanego.
Na ciemnym krzyżu znowu podniosła się uwieńczona
cierniem głowa, i słodki

odezwał się głos:

— Zaprawdę ci powiadam, nie zwiędnie ten kwiat, i
pochodnia Miłości nie zgaśnie,
ani wyschnie źródło, co z ofiarnego serca spłynęło. Ale wieki
przeminają, a Dobro
nie przeminie. Idź, dziecko, weź krzyż na ramiona twe — i
czyń Dobro. A ja będę
z tobą po wszystkie dni.

Mrok już zapadł w katedrze zamkowej, gdy Jadwiga podniosła
się z klęczek. Cisza
była pod sklepieniem, cisza na grobowcach. Tylko przez
barwne gotyckie witraże
sączyła się jasność omdlewającego dnia, i grała jeszcze
ametystami i purpurą,
złotem i szafirem na ołtarzach, na marmurach i na starych
bronzach. I w jej
blasku budziły się gdzieniegdzie twarze świętych i
męczenników, aniołki
trzeptały się gdzieś wysoko, postacie zmarłych, dawno śpiące
wiecznym snem pod
cieniem rzeźbionych baldachimów, poruszały się, jakby
nawpół zbudzone, jakieś
cienie fruwały, jakieś niewyraźne i lekkie snuły się masy.
A gdy królowa, chwilę postawszy nieruchoma przed krzyżem,
podniosła głowę i iść
przez kościół zaczęła, — zamigotały żywiej ametysty i
szafiry, purpura i złoto.
W mrocznych kątach zbudziły się szmery i szepty, a u
sklepienia wysoko

zaszumiały jakby skrzydła orle. Rozkołysała się stara katedra,
jak las, gdy po
nim wichur przelata, rozbłysły złocenia i barwy, rozgwa rzyły
się jej mury,
ozwały się podziemia, rozgadały się grobowce.
Ona szła ku wziętemu na się krzyżowi —

ku swej wielkiej przyszłości. Szła, powagi pełna i majestatu.
A dokoła kłaniały się jej do stóp duchy umarłych, szumiały
nad nią skrzydła
aniołów, i zrywało się zewsząd wołanie:
— Idź, błogosławiona! Idź!
Z Łokietkowego grobowca grzmiał głos
potężny:
— Dokonaj mojego dzieła! Dokonaj wielkiej myśli!
A Kazimierz Wielki podniósł się na swem marmurowem łożu
i mówił:
— Dokonaj... przez Miłość! Jam nie kochał Aldony. Jam i
Litwy nie kochał. A
tylko miłość łączy. Ty bądź tą Miłością!
I znowu wołały duchy:
— Idź, błogosławiona! Idź! I ona szła.

W sali, na Wawelskim grodzie, zapalono świece jarzące i
pochodnie. Rzeźbione
ławki zarzucano kobiercami. Czerwonem sukniem zaścielano
posadzkę. Ustawiano w
środku wysokie krzesło złociste, a obok objano barwnymi
materiami stołki.
Królowa radę swą, dwór i rycerstwo

zaprosiła do siebie. Ważnych im miała udzielić wieści.
Schodzili się więc dworzanie i rycerze, biskupi i prałaci,
panowie i wielcy
urzędnicy państwa. A wszystkie twarze zamyślane były i
frasobliwe, bo czuł
każdy, że się ważą losy narodu. I każdy drżał w sercu swoim,
czy drobna
dziewczęca dłoń, co szalę tych losów dzierżyła, na pożądaną
przechyli ją stronę.
Dwaj pachołkowie, niosący zapalone świeczniki, weszli do
sali, poprzedzając
królowo. Wszyscy powstali z miejsc i powitali swą panią. A
ona, oddając na obie
strony ukłony, przeszła powolnym krokiem wzdłuż komnaty i
usiadła na wysokim,
Pozłocistem krześle.
Wśród marsowych obliczów rycerstwa, wśród tych,
ogromnych, silnych i twardych, w
stal zakutyh mężów, wśród sędziwych postaci duchownych
jej młodość zajaśniała,
jak wiosenny kwiat.
Ubrana była biało, tylko na ramiona zarzuciła królewski
purpurowy płaszcz, w
złote andegaweńskie lilie tkany, a spięty na piersiach kłamrą,
misternie w
kształcie orła rzeźbioną. Jej jasne włosy spuszczały się dwoma
warkoczami na
plecy i prze-

plecione były sznurami pereł. Twarz, bledsza niż zazwyczaj,
miała wyraz dziwnego
skupienia, powagi tak wielkiej, jakby już nieziemskiej. A
oczy, które zwykle
patrzyły na świat śmiało i radośnie, teraz kryły się co chwila
pod zapadającą
zasłoną powiek, jakby zatrzymać chciały w swej głębi jakieś
tajemnicze wizye.
Chwilę siedziała w milczeniu na wysokiem krześle,
nieruchoma i w jakiś głos
wewnętrzny zaśluchana. A gdy się uciszyło dokoła i wszyscy
zajęli swe miejsca,
powstała i podniosła głowę. Głos jej spokojny i stanowczy
rozległ się pod
sklepieniem komnaty:
— Zwołałam was tutaj, czcigodni ojcowie duchowni i
panowie radni, i was
szlachetni rycerze, aby objawić wam, tu we spól zebrany,
moje królewskie
postano —
wienie i wolę.
Zatrzymała się chwilę, powieki opuściły się na cudne źrenice.
I znowu powiodła
po zebranych, i mówiła dalej:
— Wiem, jako jest życzeniem narodu mojego abym ja,
wszedłszy w dozgonne
śluby małżeńskie z Wielkim Księciem Litwy, Jagiełą,
dokonała tym sposobem
połączenia Księstwa Litewskiego z tam Pol-

skiem Królestwem, i też Litwę, dotąd w pogaństwie trwającą,
do przyjęcia świętej
wiary naszej nakłoniła. Dotychczas opierałam się temu
życzeniu, gdyż inną
wydawała mi się wola Boska nade mną, inne też żywiłam
sama zamiary... i
pragnienia... Głos jej załamał się nagle, i była chwila, że się z
sobą mocować
musiała. Ale wnet ozwał się znowu, spokojny i stanowczy:
— Lecz dzisiaj, gdym w modlitwie przed krzyżem
Chrystusowym szukała światła i
rady, światło to zeszło do umysłu i do duszy mojej i umocniło
moją wolę ku
wypełnieniu życzeń narodu. Zgadzam się tę rękę oddać
Wielkiemu Księciu Jagielle.
Szlachetnego rycerza, Zawiszę z Ole
śnicy, naznaczam jako posłańca tej wieści do W. Księcia
Wszystkich zaś tu
obecnych, zwłaszcza was, czcigodni ojcowie, proszę o
modlitwy do Niebieskiego
Pana, aby raczył tym zamierzeniom naszym i tym nowym
drogom naszym błogosławić,
a mnie wesprzeć... i... i...
Tu głos załamał się jej znowu w piersi, Nie mogła dokończyć.
I stała wysmukła i
jasna, z bladością na twarzy, ze spuszczonej oczami —
pełna powagi i majestatu

Powstał krzyk radości. Zerwali się wszyscy — panowie i
rycerze, biskupi i

dygnitarze, siwi starcy i żelazni mężowie — i ku pani swej szli. Z chrzęstem zbroi na kolana przed nią padali, do stóp jej się cisnęli, kraj płaszcza brali w ręce i do ust nieśli, jak świętość. A starcy wyciągali ku niej ramiona błogosławiącym ruchem. I wielki krzyk brzmiał wciąż pod sklepieniem:
— Pani nasza miła!... Aniele boży!... Matko nasza!... Bóg z tobą! Bóg z tobą!... Świętą będziesz narodowi swemu!... Ty, miłościwa — najlepsza, anielska nasza Królowo!... Pani ukochana!...
A ona stała milcząca i blada wśród ra dosnego tłumu, wśród radosnych okrzyków.
Na twarzy jej rozlewała się coraz większa, jakby nieziemską już powagą.
Bo duch jej znowu wzleciał w górę, wzbił się do samego ogniska jasności, do źródła przedwiecznej Prawdy. I widziała znowu, czym jest sekunda życia ludzkiego, czym kochanie ludzkich serc, czym rozkosz ciała, czym zamiary i marzenia, czym mydlana bańka szczęścia, czym blask i sława, czym istność państw i kro

łów potęgą, czym ludzkość cała — wobec wiekuistego Dobra, wobec wiekuistej Miłości...
I bardzo smutny uśmiech na jej usta wykwitał.

BAJKA

— Boże Ojczy — rzekł święty Kazimierz do Pana, siedzącego sobie spokojnie na niebieskim tronie. — Zbliżają się święta. Pozwól mi zstąpić do kochanego miasteczka Wilna i zobaczyć, co się tam dzieje.

— Cóżżeś to taki ciekawy? — spytał Bóg Ojciec.

— A bo dawno już tam nie byłem, a słysząc, że dzieją się tam dziwy.

— No, cóż takiego?

— Ot, opowiadali niektórzy, jakoby ludzie, co smaczno spali przez tyle lat, raptem się zbudzili — ci, co lękali się pary z ust wypuścić, gadają teraz bezustannie — ci, co wcale nie myśleli, myślą teraz od rana do nocy — ci nawet, co nigdy nic nie robili, teraz robią coś i robią. Co dzień parę nowych stowarzyszeń zakładają.

— E, przesadzasz! Tak źle znowu nie

jest. Przecież i ja coś nie coś słyszę... wiedziałbym... Ale, jeżeliś taki

ciekawy, to możesz zejść na ten padół i przekonać się. Idź!
tylko dobrze się
przyglądaj — i lada plotkom nie wierz.
Święty Kazimierz ubrał się ciepło, że to na ziemi mrozy
trzymały, i poszedł.
Przyszedł do Wilna. Rozgląda się, patrzy. Tak, zdaje się, z
wierzchu wszystko po
dawnemu. Ulice ciasne, brudne, chodniki nie — zamiecione,
ludzie oberwani,
dzieci wybladłe i nędzne, konie zdychające — wszystko jak
przed laty. A choć
elektryka świeci, jakoś ciemno jest i smutno. Do kościoła
poszedł i tam nic
nowego nie zobaczył. Wprawdzie, nie miał cierpliwości
wysłuchać całego kazania,
możeby się czego i dowiedział... Ale wyszedł wcześniej.
— Czyżbym się pomylił — myślał, idąc dalej zabłoconemi
uliczkami — może tu
doprawdy nic się nie dzieje?
Aż ujrzał przed jakimiś drzwiami zbiegowisko. Przecisnął
się i wszedł. Sala
była duża, z galerya, ale tak natłoczona, że głowa stała przy
głowie.
— Dobrześ pan trafił — rzekł mu jakiś jegomość, poznawszy
przybysza z dalekich
on. — To jest nadzwyczaj ciekawy my-

tyng. Wszystkie partye wysłały swoich delegatów, aby doszli
do porozumienia.

Święty Kazimierz nadstawił uszu i słuchał.

Mówił jakiś młodzieniec o garbatym nosie. Mówił dobitnie i z wielką pewnością,
że stary świat jest to drzewo spróchniałe, które trzeba ściąć i w ogień wrzucić,
a wtedy od korzenia puszczą się świeże pędy i wszystko będzie dobrze. Że trzeba
być kretynem i burżujem, aby mówić o naprawie — tu nie naprawiać, tu burzyć
potrzeba, burzyć aż do fundamentów, rozbijać, miażdżyć i basta! Wszystko, co
ludzkość dotychczas zdziałała, wszystko, do czego doszła, wyjąwszy może kilku
naukowych pewników, jest funta kłaków nie warte! Trzeba to wszystko zetrzeć,
zmieść, zgładzić z powierzchni ziemi i dzieło rozpocząć na nowo. Że zatem, kto
przeszkadza istniejący porządek rujnować — ten jest wrogiem przyszłości i wart
stryczka.
— Czy ten pan jest chory? — spytał święty Kazimierz swego sąsiada.
— Jakto! dlaczego? — zawołał ten groźnie.
— A no... myślałem... takie dziwactwa wypowiada... Za moich czasów...
Ale nie mógł dokończyć, bo zerwały się huczne oklaski i okrzyki zadowolenia.

Potem, drugi bardzo młody młodzieniec rozwijał obszernie taką myśl: Wszystko, co
dotychczas zrobiono, jest nic warte. A kto zrobił?
Arystokracja, szlachta,

księża, burżuazya — oni to postawili świat na skraju
przepaści. Lud, proletaryat
nie brał udziału w tej nikczemnej robocie. Nie pchał naprzód
wozu ludzkości, był
biernym, milczał. A więc, stąd wniosek nieomylny: tylko lud
ma teraz prawo
działać, chcieć i mówić. Tylko on jeden ma rację bytu. Inne
klasy niech milczą!
i niech ze schyloną kornie głową słuchają, co mówi Lud. Tak!
niech żyje
proletaryat miejski i wiejski! — Na pochybel burżujom!
Święty Kazimierz nie zrozumiał dokła dnia — ale już nie
chciał pytać, aby nie
obrazić obecnych.
Huczne oklaski towarzyszyły tej mowie. Wprawdzie, ozwał się
gdzieś głos protestu:
— Zmiłujcie się! Toż samowładztwo! Ja każ będzie różnica...
— Tak, samowładztwo. Ale samowładz two ludu. Kto jemu
się sprzeciwia, wart
bryczka — odpowiedziano.
Tu przepchnął się naprzód gruby oby wateł, o szumiastym
wąsie i ogorzałej ce-

rze, i dźwignąwszy się na mównicę, zaczął grzmieć donośnym
głosem:

— Żądam hamulca na wywrotowe prądy! Żądam ukrócenia
rewolucyi! Żądam
poszanowania dla tradycyi! Żądam przedewszystkiem uznania
nietykalności mienia!
Nietykalność własności! Oto jest podstawa społeczeństw! Oto
jest dogmat święty!

Dogmat, który od początku świata, z przedhistorycznych mroków wiódł ludzkość ku cywilizacji, ku jasnym...
Nie dano mu dokończyć. Setki rąk wyciągnęło się groźnie, huk powstał na sali
Przewodniczący zaczął dzwonić i obywatel zniknął z mównicy.
Potem, gdy się nieco uciszyło, wystąpi człowiek w czarną szatę odziany! ozwał się głosem przywykłym do posłuchu Przyznawał, że lud jest nieszczęśliwy ze ma mnóstwo niezaspokojonych potrzeb. Dotychczas jednak wystarczała mu nadzieja niebieskich dóbr — i przez długie lata było dobrze i cicho. Ale teraz tego nie dosyć. Powiadają ludzie: co nam po niebieskich dobrach! My chcemy ziemskich! A więc niech i tak będzie. Dawajmy i ziemskie. Stać nas na to. Owszem, mili bracia bierzcie, co chcecie — bylebyście od nas

brali. Owczarnia była dotychczas ciasna i zimna? Przerobimy ją na przestronną i dostatnią — bylebyście z niej nie wychodzili...
— Dość! dość! — zaczęto wołać, A chociaż gdzieniegdzie odzywało się też:
— Jeszcze! Jeszcze! — czarny człowiek opuścił trybunę i z godnością zniknął.
— Naco im ten lud tak potrzebny, że tak dużo mu obiecują?
— pomyślał święty

Kazimierz. —I czy mu dotrzymują?...Ale spojrzął na estradę i
zdziwił się. Stała
tam białogłowa, tak, wyraźnie białogłowai mówiła, siląc się na
głos donośny.
Mówiła, że korzysta z tak licznego ze-bania, aby ozajmić o
pewnym związku, a
raczej sprzysiężeniu, które teraz właśnie, w tych smutnych
czasach zepsucia i
eman cypacji, chcąc ratować cnotę i prawdę, po wstało w
naszem mieście. Jest to
poniekąd Powrót do znanej już formy działania — dotak
pięknie zapisanej w
dziejach Inkwizycji. Niestety, stosów dziś już rozkładać
niemożna, ale przy
dobrej woli i gorliwości zaleść można inne sposoby na
heretyków. A heretycy są
zawsze! Otóż, zadaniem związku jest przeczuwanie herezyi i
dusze-jej, żeby się
tak wyrazić, w łonie ma

tki — śledzenie nietylko czynów, lecz i niedostrzegalnych dla
zwykłego oka
odcieni myśli ludzkich, chwytywanie zła, zanim się jeszcze
wylęgnie. Funkcye te
przeważnie pełnią kobiety. Bo od czegoż równouprawnienie?
a także znana kobieca
fine zya. Wzywa się więc wszystkich, sprzyjających temu
sposobowi kształcenia
ludzkości, a posiadających pewność siebie i dobry węch, aby
się zapisywali do

tej szlachetnej pracy, której owocem będzie obcięcie
wszelkich nad poziom
wystających głów. Hasło: kto nie z nami, ten przeciwko nam.
Mowa ta wywołała wielkie zadowolenie, gdyż prelegentka
była młoda i bardzo
przystojna.

Ale świętemu Kazimierzowi nie podobała się. — Coby na to
rzekła moja matka,
królowa Elżbieta! pomyślał. Wszak ci jej to są słowa: Więcej
warta ludzkość, niż
czyny znamienite. A gdzież tu ludzkość? Gdzie dobroć? Gdzie
chrześcijańska
miłość?

Chciał nawet coś o tem powiedzieć, ostrzedz, napomnieć. I
poprosił o głos. Ale
musiał czekać, bo najprzód należało program wyczerpać.
Teraz wyskoczył na estradę wysmukły blondyn z rozwianym
włosem i oświadczył

najprzód, że, niestety! musi mówić po polsku, gdyż inaczej nie
byłby rozumiany
przez nikogo, a rozumianym być chce — ale że wszystkiemu
winni są Polacy. Oni
to przez chciwość, podstęp i różne intrygi zawładnęli ongi tym
nieszczęsnym
krajem, ochrzcili go zdradliwie, pobudowali kościoły i miasta,
pozakładali
szkoły, drukarnie, wprowadzili prawa i swobody, o jakich za
dobrych czasów
nikomu się nie śniło, zaludnili puste obszary, uprawili
ogromne przestrzenie i

narzucili swoją kulturę, tę wstrętną, zachodnią zarazę i swój język — ten giętki, dźwięczny, wyrobiony i obrzydliwie bogaty język! Że jest to czyn, wołający o pomstę do Boga! Jedyny w historii wypadek, aby tak bez wojen, bez gwałtów doprowadzić do unii! Okropność! I tylko wtedy dobrze będzie i sprawiedliwie, gdy się Polaków albo wypędzi precz za Wisłę, albo tak zgnębi, aby nie śmieli nie tylko mówić, ale nawet myśleć po polsku. Wtedy, znajdzie się na poczekaniu i tutejszy język i tutejsza tradycja i tutejsza kultura — i wszystko to, czego dotychczas nie było. A więc, precz z Polakami! — O! — rzekł do siebie święty Kazimierz — za moich czasów tak my

ślano. Po Grunwaldzie i Horodle niechęć tnieby się pozbyto Polaków... Huczne oklaski towarzyszyły tej mowie. Ktoś chciał zaoponować, ale mu nie dano. Bo wystąpił człowiek, którego wszyscy w skupieniu słuchać zaczęli. Mówił aksamitnym głosem, którym do głębi uszu i serca się wnęcał, a kładł się na duszy jak pieszczota. Słowa płynęły potokiem obfitym i pełnym — nie rozbrykaną falą. Oczu mówcy nie widać było z za okularów, ale gest miał umiejętny, zakrawający na

wspaniałość, Zwracał się do poprzedniego mówcy z tkliwym współczuciem, rozumiał go, pojmował do głębi — nawet, po części, zgadzał się na jego dowodzenia. Ach, tak! Polacy!.. zwłaszcza szlachta polska... O, dużoby o tem mówić... Lecz nie w wypędzaniu ich widział ratunek. Nie! Każda ludzka jednostka ma prawo do życia, więc i Polacy... Ratunek jest w tem, aby się każdy przejął jedną wielką prawdą — a mianowicie, że narodowość, to ostatecznie, zwłaszcza w naszych warunkach, rzecz całkiem prywatna, domowa jakby — rzecz, której można używać albo nie używać, ale którą wystawiać na pokaz nie wypada, jest wprost nieprzyzwoicie.

Trąci

to zaraz hakatyzmem, a cóż wstrętnej szego nad hakatyzm? Historia! — powiadają szowiniści. Bardzo pięknie, niech ona sobie będzie. Ależ nie można żyć historia! Należy umieć — pozbyć się w porę niepotrzebnego balastu — i płyną, z prądem i nie walczyć o dobra idealne, gdy są całkiem konkretne do zdobycia. Jesteśmy wszyscy ludźmi tutejszymi — oto fakt niezbity — i tylko jako tacy mamy rację bytu. Walczmy więc w połączeniu z ogro mnem państwem, o nasze tutejsze prawa i

potrzeby i o nic więcej. A dajmy pokój przeszłości, bo już ona nikogo nie obchodzi. Zerwijmy z nią szczerze i raz na zawsze! Zerwijmy również z tymi, co usiłują dawne jej kształty wskrzesić, co pod płaszczykiem narodowych uczuć, szerzą obsku rantyzmy, ciasnotę pojęć i fanatyzm. Precz z narodową hakatą! Zerwała się burza oklasków. Cała sala trzęsła się i ryczała jednym głosem: Precz z narodową hakatą! — Acha! — pomyślał święty Kazimierz — teraz rozumiem. To to jest nastraszniejszy tutaj nieprzyjaciel. Na nikogo jeszcze tak się nie gniewali

Po długiej chwili, obecni uspokoiли się cokolwiek, wzywani do porządku gwałtownym dzwonieniem przewodniczącego. Ten powstał i poprosił o cierpliwe wysłuchanie ostatniego już delegata, który pragnie powiedzieć słów parę na usprawiedliwienie swojej partii. Wystąpił więc podstarzały już człowieczek, o bardzo poczciwej twarzy i zaczął coś mówić, ale zrazu tak cicho, że nic dosłyszeć nie było można. Wreszcie, jakieś urywane wyrazy przedarły się do uszu świętego Kazimierza. Usłyszał coś o Jagiellonach, o Batorym i o Sobieskim. Potem wyrazy: kółka, oświata,

stowarzyszenia, czystość języka... Tu naraz mówca się zapalił:
— O mili rodacy! — zawołał, — dbajcie o czystość języka!
Uczcie się, uprawiajcie
ten skarb wasz najdroższy, strzeżcie się błędów, tak niestety! u
nas
rozpowszechnionych. Ach! — jęknął żałośnie, — ileż razy na
własne uszy słyszałem
osoby z inteligencyi, wołające na dorożkarza: »Izwoszczyk!«
Ach... mili
rodacy...
Nagle zerwał się krzyk oburzenia:
— Dosyć! Dosyć! Precz! — wołano. — Zdrajca! Ugodowiec!
Nikczemnik! Hakaty —

sta! Intrygant! Precz z nim! Precz z ojczyzną! Precz z
mrzonkami!
Laski podniosły się do góry, niezliczone pięście zaczęły
wygrażać. Aż i krzesło,
dzielną ręką rzucone, wpadło na mównicę. Człowieczek o
pocziwej twarzy stał
jeszcze, coś usiłował przemówić. Przewodniczący dzwonił
zażarcie.
— Ależ poczekajcie! Cóż on tak złego powiedział? — zaczął
wołać święty
Kazimierz.
— To zdrajca! — odpowiedziano.
Krzyki się wzmagaly. Krzesła coraz gęściej zaczęły fruwać w
powietrzu.
Zakotłowały w sali. Ludzie jedni drugim skakali do oczu. W
rozgrzanem powietrzu
syczały wyrazy: Nikczemnicy! Łotry! Zdrajcy!

Aż nagle, donośny głos huknął: »Idą!« Zrozumiano odrazu.
Przerwano szlachetne
zapasy i rzucono się ku drzwiom.
Ale we drzwiach błyszczały wyciągnięte szable i świeciły
guziki mundurów. Sala
była otoczona, a całe zebranie wzięte pod areszt. Na jednej
ławie zasiedli obok
siebie młodzieniec o garbatym nosie, ogorzały obywatel,
człowiek w czarnej
szacie, blondyn z rozwianym włosom i podstarzały

człowieczek o poczciwej twarzy, a przy nich stanęła straż.
Tylko pan w okularach wymownie coś tłumaczył
komisarzowi, czyniąc gest
wspaniały. Ale komisarz jakoś głową kręcił.
— A tom się wybrał! — pomyślał święty Kazimierz. — Anieli
święci! ratujcież mnie
od kompromitacji!
Jakoż w tejże chwili zlecieli się aniołowie i, niewidzialni dla
ludzkich oczu,
wzięli świętego na skrzydła swoje i aż do samego nieba
zanieśli.
— Cóż tam widział ciekawego? — spytał Bóg Ojciec. —
Warto się też było
fatygować?
— Ach, Boże Ojcze! źle słyhać — bardzo źle w tem mojem
kochanem miasteczku.
Gorzej niż przypuszczałem.
— No, cóż takiego? Opowiadaj. Święty Kazimierz
opowiedział wszystko,
co i jak — a potem westchnął serdecznie.

— Widać, rozумы im się pomieszały. Zamiast iść pospolitem ruszeniem na wspólnego wroga, a potem już swoje sprawy roztrząsać — oni się gryzą, rozdają sobie wzajemnie stryczki, od zdrajców sobie wy myślają. A wróg napada i wszystkich razem bije.

A Bóg Ojciec wsparł siwą głowę na rękę i zamyślił się głęboko.

— Młody jesteś — rzekł wkońcu — to i nie wszystko rozumieć możesz. Łatwo powiedzieć: rozумы im się pomieszały! Ale od czego im się pomieszały? A ja ci powiadam: zanadto cierpieli. Od tego i najmędrszemu w głowie się pomiesza.

TRYUMFATOR

Judele Oszmianik uważany był od wczesnego dzieciństwa za niedojdę. Jego wielka głowa tak jakoś zwieszała się niezgrabnie z cienkiej i długiej szyi. Jego wyłupiaste oczy tak patrzyły przed siebie ospale, martwo — A chude ramiona zdawały się nie wiedzieć poco przyczepione z dwóch stron zapadłej, kaszlącej

piersi. I nogi pod nim tak niepewnie stąpały. I głos, co mu wychodził z ust bladych, tak był chropawy, urywany, cichy. — A śmiechu — to nie znał on wcale.

Niedojdą był.

Wszyscy tak myśleli. Rodzona matka nawet nie inaczej jak z westchnieniami i z kiwaniem głową spoglądała na niego. Tylko ojciec upierał się, dopóki żył, aby go na uczonego kierować. Do chederu posyłał, do ksiązek zapędzał — a potem — już chyba sam niedobrze miał w głowie — sprowadził mu korepetytora, i do gimnazyum ka-

zał przygotować. Płacił, starał się, kołatał — aż Judele ocknął się pewnego pięknego poranku w palcie ze srebrnymi guzikami i w czapce ze srebrnym znaczkiem, a z ciężkim tornistrem na chudych plecach. I zaczęła się codzienna męka. W klasie śmiano się z niego, płatano mu figle, szydzono z jego wielkiej głowy i oczu wylupiastych, i nazywano brzydkimi wyrazami. Profesorowie, patrząc na niego, za najlepsze odpowiedzi stawiali najwyżej trójkę. W domu ojciec wymawiał mu codziennie, ze tyle na niego wydaje, i straszył go wciąż przypuszczeniami, iż egzaminów nie zda. Cała bliższa i

dalsza rodzina urągała tej ojcowskiej fantazji, której nawet
wojskowe racye nie
tłumaczyły, gdyż Judele był jedynakiem.
A chociaż przepychał się z klasy do klasy, męką mu była i ta
nauka, i ci
koledzy, i ci profesorowie, i te książki ciężkie, co mu
codziennie kark niżej ku
ziemi schylały — i te zadania trudne i żmudne, które Przy
blasku kopcącej lampki
wykuwać musiał co wieczór, — i ta ogólna, jakby unosząca
nad nim, jakby tłocząca
go do ziemi pogarda — pogarda od obcych — pogarda od
swoich.

Jedno tylko było na świecie miejsce i jedna istota ludzka, przy
której Judele
czuł się szczęśliwym. Jeden był kątek cichy, gdzie go nikt nie
nękał. Był to
pokoik dziadka — izdebka mała, pod dachem, gdzie przez
okienko wpadał snop
słonecznych promieni, i całą ją rozświetlał złotawym
blaskiem. Tam, pod tym
okienkiem, owinięty w stary szlafrok, z nogami od wielu lat
nieruchomymi, —
siedział dziadek siwy nad stosami książek. Książki to były
stare — ogromne —
ciężkie — i zawsze te same. Dziadek od wczesnego ranka do
późnej nocy siedział i
czytał.
Nauczny był — mądry — rabinem prawie.

Czytał półgłosem, kiwając siwą głową naprzód i wtył A tylko czasem urywał, i z nad okularów oczy podnosił ku snopowi słonecznych promieni — oczy zaczerwienione i osłabłe, a tak głęboko zapadnięte, — i długo, długo w jasność się zapatrzył. A wtedy westchnienie podnosiło pierś jego, i usta otwierały się bolesnym szeptem:
«Aj wai! ai, aj!...
I znowu do księgi powracał i kiwać głową poczynał.
U nóg jego nieruchomych i martwych,

przykucał często Judele. A dziadek nie przerywał czytania — tylko kładł mu pomarszczoną dłoń na głowę i gładził jego włosy. I czytał. A czytał rzeczy cudne. Oto Pan dawał słyszeć głos swój z nieba — i ukazywał ogień swój bardzo wielki — i słyszane są słowa jego z pośrodku ognia. Albowiem umiłował lud swój — i wywiódł go, idąc przed nim w mocy swojej do Egiptu. I palcem własnym rył mu na tablicy prawo. I nie opuści, ani zapamięta przymierza, na które przysiągł. Bo lud to święty Panu — obrany, aby mu był ludem osobliwym ze wszystkich, którzy są na ziemi. I pożre on wszystkie narody — i nie sfolguje im oko jego — i nie będzie się ich bał — i po szyjach ich deptać będzie. I oto trąbią złote trąby przed skrzynią przymierza — i lud wielkim woła głosem.

— I padają mury przeklętych miast. — I oto wody zmykają
przed stopą lewitów — i
kamienie z nieba płoszą nieprzyjaciół. — I ziemia cała —
obiecana ziemia,
płynąca mlekiem i miodem — korzy się przed zwycięzcą. A
— on nie zna litości — i
paszczką miecza wybija wszystko — od męża do nie-

wiasty — od dziecięcia aż do starego — i woły też, i owce, i
osły.

I oto na wyżynach, dymią ofiary cało — palne — miłe Panu.

A w Salomonowej

świątyni, Cherubiny złote okrywają skrzydłami swemi okna
przymierza skrzydłami

wielkimi ochraniają lud wybrany. I w obłoku — do świętego
miejsca, schodzi Pan.

— Mówi do ludu swego — mieszka z nim — zawsze — stale.

I korzą się wszystkie narody przed zwycięskim mieczem

Izraela. I w błękit nieba

wznoszą się dymy kadzideł — wieją purpurowe i lniane szaty

— błyskają zbroje —

świecą złote stropy świątyń i pałaców — i złote trąby grają —
grają pieśń

zwycięstwa — pieśń chwały i tryumfu.

Dziadek odrywał od ksiąg zczerwieniałe oczy — i patrzył w
promienny snop, co z

okienka spadał. Patrzył — i widział ach, widział wyraźnie
dawną chwałę

Izraela!...

I Judele wyteżał wzrok. Tak — Oto zły hufce zbrojne — oto
płynęła powietrzem

cedrowa skrzynia przymierza — oto lewitów śnieżne szaty —
oto palmowe i oliwne
gaje — oto Jordan szeroki i jego błękitne wody — oto lud
wybrany wśród
wszystkich ludów ziemi.

Ciasny pokoik dziadka zapełniał się wiązami — cienie
bohaterów wstawały — sam
Bóg do nich przemawiał. Dziadek znowu spuszczał głowę nad
książką — i czytał:
«I wstąpił Anioł Pański z Galgal na miejsce płaczących, i
rzekł: Wywiodłem
was»...

Gdy umarł pewnego dnia stary dziadek — cicho,
niepostrzeżenie, siedząc, tak jak
zwykle nad książkami swymi — Judele pozostał samotny. Nie
miał już nikogo na
świecie, coby nim nie pomiatał. Ojciec nawet, który wciąż
jeszcze pragnął dla
niego naukowej kariery, poczynił już w nią wątpić. A że
interesy majątkowe mu
się psuły od niejakiego czasu, coraz więc gderliwiej i
dotkliwiej wymawiał
chłopcu czynione dla niego ofiary.
Coraz cięższą stawała się rzeczywistość. W domu było
nędznie, brudno i nudno. W
szkole, dziwnie wciąż obco i wrogo. Cała rzeczywistość była
taka zimna i szara —
taka brzydka — taka dławiąca!
Więc zaczął uciekać od niej — w marzenie.

Gdy chude jego, zgarbione ciało pochylało się nad książką,
wykuwając niby ju-

trzejsze zadanie — duch uciekał daleko — w krainę czarów i
wizyi i snów.

Wędrował po słonecznych promieniach do pustyń
bezbrzeżnych — na morza
bezgraniczne — pod jasne obłoki — aż pod gwiazdy złote —
szedł na czele hufców
zbrojnych, co walki olbrzymie staczały — leciał na orlich
skrzydłach wysoko,
wysoko! I walczył — i nacierał — i zwyciężał. — I wodzem
był, bohaterem —
piorunem w Bożym ręku — wybawicielem ludu swego —
archaniołem z gorejącym
mieczem w dłoni. — Obnażały się przed nim głowy —
klękały tłumy — porywano go na
ramiona, i niesiono dale] i dalej, w jakąś błękitną, słoneczną
przestrzeń — w
jakiś ocean blasków — w jakiś cudny, cudny świat...
Gdy się budził z marzenia, dreszcze nim wstrząsały. Nad nim
kopciła lampka w
izbie poddasznej duszno było — z kąta dochodziły miarowe
oddechy śpiącej już
rodziny. Leżały przed nim książki i kajety. Brała go w
posiadanie rzeczywistość
brudna i ciężka — ściągająca z wyżyn słonecznych, i oblepiała
mu duszę swem sza
rem, cuchnącem błotem.
Miał lat piętnaście, gdy mu ojciec umarł Matka wyszła wnet
za mąż za

najbliższego

krewnego, a rada rodzinna orzekła, iż Judele za głupi jest, aby mógł skończyć

gimnazjum i zrobić jakąkolwiek karierę, i że szkoda na niego pieniądze wydawać.

Odebrano więc go ezempredzej ze szkół i kazano uczyć się rzemiosła. Ojczym był

krawcem — wziął go więc do swojej pracowni.

I znowu, jak niegdyś nad książką, tak teraz, nad igłą i sukniem, pochyliła się

niezgrabna głowa. I znowu stał się pośmiewiskiem kolegów, gdyż długie jego ręce

dziwnie były niezdatne, wyłupiaste oczy tak źle widziały, a i umysł ciężki tak

powoli pojmował. I znowu mówiono o nim: Niedojda!

wzruszywszy ramionami,

przechodzono nad nim do porządku dziennego. A on milczał.

Nie bronił się, nie

odcinał, nie ujmował za siebie. Tylko, gdy mu było

źle, uciekał znowu duchem — w marzenie. Ach! tam — w te krainy szczęśliwe —

w te przestrzenie jasne — pod te błogosławione niebiosy — w ten cichy błękit —

tam, aż pod gwiazdy — pod słońce.

Wkoło niego, starsi wciąż biadali nad dolą żydowskiego ludu.

Młodzi snuli plany,

stawiali teorie, burzyli świat, pragnęli, że-

dali, knowali, parli się naprzód ku czemuś lepszemu.
On próbował zrozumieć, o co im chodziło. Słuchał. Wyrazów
mnóstwo wielkie
objało się o uszy jego — wyrazów niejasnych dla jego
umysłu. Nie wiedział, co
znaczyły. Spróbował pytać. Ale nikt mu nic tłumaczyć nie
miał cierpliwości.
Wzruszano ramionami, uśmiechano się wzgardliwie i
odsuwano go na bok.
Raz tylko, piękna Ryfka, buchalterka z kuśnierskiego składu,
widząc, że go nikt
nawet wysłuchać nie chce, wzięła go za rękę i posadziwszy
przy sobie, jęła
wykładać. Mówiła przystępnie, siliła się na jasność, używała
słów najprostszych
i dawała przykłady z życia.
Byłby pojał z pewnością, gdyby me... jej oczy piwne,
błyszczące, ogromne pod śli
cznemi brwiami — gdyby nie to czoło białe, z drobniutką
siatką niebieskich żyłek
na skroniach — gdyby nie ten nosek prosty, którego nozdrza
latały w zapale, jak
chrapy rasowego konia — gdyby nie te wargi świeże,
soczyste, co się otwierały i
zamykały na białych ząbkach — a tak do siebie ciągnęły! taką
nieprzepartą
ciągnęły siłą! gdyby nie ta ręka, o różowych palusz-

kach — i nie ta pierś młodzieńcza, opięta ciemnym stanikiem,
a podnosząca się i

opadająca szybko w ogniu słów, które rzucała — gdyby nie te
ciężkie zwoje
miedzianych włosów, co jej twarz opasały, a na karku
związały się w gruby węzeł,
lśniły takimi pysznymi odbłyskami metalu...
O, gdyby nie to wszystko! — byłby zrozumiał z pewnością.
Ale tak — zapatrzył się w jej oczy, zasłuchał się w jej głos.
Mniejsza o to, co
mówiła! Byleby nie przestawała mówić.
I widział — pod cieniem palm wysmukłych, długie korowody
płásających dziewic —
oogate królewskie komnaty i rozesłane pod baldachimami
łóża, zmysłowe guje,
brzmiące od śpiewu słowików, rozegrane brząkaniem lutni i
srebrzystych harf —
głębokie na Pustyni studnie, nad którymi się pochylały gibkie,
niewieście
ramiona — długie karawany, wiozące zawoalowane postacie
— rozwiane szaty — błysk
złotych kolczyków — mywania bosych stóp w winnicach
— ogrody róż i lilii
pełne — jasneświaty, barw pełne i woni...
Ryfka mówiła o kapitalizmie, o burżuazji, o ekonomicznym
kryzysie, o proleta-

ryacie, o strajkach, o wolności słowa, prasy, mieszkań i osób,
o
równouprawnieniu, o organizacji, o głosowaniu
powszechnym, bez — pośrednim,
tajnym i równym, o rewolucji, o terroryzmie...

On patrzył w nią, i mówił do niej w głębi: «Otoś ty jest piękna
— jako lilia

między cierniami! Plastr miodu płynący, wargi twoje — a
wymowa twoja, wdzięczna.

Wstań, spiesz się "gołębico moja! Bo już zima minęła —
ukazały się kwiatki po

ziemi naszej — głos synogarlicy słyhać, a winnice kwitnące
wydały wonność swoją

— wstań, a przyjdź! Przyłóż mię jako pieczęć do serca twego
— jako pieczęć do

ramienia twego...

— «Zdaje mi się, Judele, że nie słuchasz tego, co mówię?»
przerwała sobie

Ryfka. «Cóż? zrozumiałeś choć trochę? czemuż nie
odpowiadasz — Nu?»

Nagle Judele pochylił się przed nią i wpił się ustami w jej
ręce. Obejmował jej
nogi tulił głowę do kolan.

Ryfka porwała się. — «Głupi!» zawołała oburzona,
uwalniając się z rąk jego. «Nu,
ależ głupi!»

Wybiegła — a on został, jak obuchem rażony. Nie było
winnic, nie było cedro-

wych kruźganków — nie było mirtowych gajów, pełnych róż i
słowików — nie było

jej. Było szaro, brudno, zimno i cuchnąco w ciasnej pracowni
ojczyrna, której nie

rozświecał żaden promyk słońca.

Była tu rzeczywistość. A tamto... tamto odleciało...

Odleciało — lecz nie na długo. Judele już nie mógł żyć bez marzenia. Nie, zbyt mu ciężko tu było! Nikt nie pokochał, nikt nie pożalował, nikt dobrego słowa nie rzekł. «Głupi! ależ głupi!», to jedno tylko słyszał. wszyscy, poczynając, od rodzonej matki, za nic: go mieli. I nic krępowali się bynajmniej, aby mu to jasno wyrażać.

A jednak... « Ja im pokażę » myślał Ju-dele, ja im pokażę! Jeszcze mię oni na rękach nosić będą — Ja coś muszę zrobić... cos takiego, że... że »... I nie wiedział, co grobie ma. Ale czuł, że coś wielkiego nań czeka — jakieś czyny, jakieś walki, jakaś apoteoza wspaniała... Czuł, że mu coś w pier siach gore...gore...i rozpiera...i naprzód pchnie... I znowu, pochylony nad robotą, ulatał duchem w marzenie.

Inni dokoła mówili o strasznem dzisiaj i o jutrze promiennem. Płonęły oczy, zaciskały się pięście, słowa wezbranymi potokami lały się z ust, piersi dyszały zemstą i gniewem, a ręce wznosiły się w górę i wyciągały się ku tej ojczyźnie dalekiej, którą budowano w myśli, ku tej wielkiej ludzkiej ojczyźnie, majaczej w przyszłości, jakby powstałe z gruzów mury Syonu. On duchem Syon ów oglądał. I widział.

Widział piętrzące się na błękicie nieba ściany świątyni,
widział jej złocone
baszty, jej rzeźbione z cedru podwoje i szkarłatną przed
świętym świętych
zasłoną. Widział stojące w ciszy nad arką przymierza
Cherubiny złote, których
skrzydła rozciągały się od ściany do ściany. Czuł dymy
kadzideł, słyszał śpiew
kapłanów i brzmiały mu okrzyki ludu. A on szedł na czele
wojsk wielkich.
Prowadził lud swój, lud ogromny, do walki, za jakieś wielkie i
święte sprawy.
Zdobywał, gromił. Złote trąby grały, niesione przez zastęp
lewitów, morze
rozdzielało swe wody, rzeki zatrzymywały się w biegu, słońce
na jego skinienie
stawało nieruchome na niebie, padały mury miast. I wiódł on
swój lud tam, do
świętych przybytków i dawał mu zakon nowy, a z nim

razem potęgę i wolność i szczęście. Pod jego stopy słano
zielone gałęzie,
rzucano kwiecie i dziewicze białe welony. Brano go na
ramiona i niesiono w
chwale. A nieprzyjacioły drżały przed nim i pierzchały przed
mieczem jego i na
powalonych karkach on stawiał nogę swą. Bo silnym był i
wielkim, i prawica jego
wstrząsała niebem i ziemią. On wódz, on tryumfator...
Naraz dokoła niego zakotłowało, zawrzało. Wszystkie głowy
się zapaliły,

rozwiązały się języki — wybuchły namiętności, «łączmy się.»
wołano — przyszła
chwila.

nigdy. Zjawili się jacyś ludzie nowi, których ślepo słuchano.

Zamknięto

warsztaty i sklepy, porzucono robotę i starzy i młodzi wylegli
na ulicę. «Teraz,

lub nigdy » brzmiało wszędzie. Zdobywać trzeba, wal —
czyć, brać!«

Judele Oszmiannik ubrał się w świąteczny garnitur, włożył
kapelusz i poszedł

także. «Zdobywać trzeba, walczyć, brać! Przyszła chwila,
przyszła chwila,
powtarzał sobie.

Wsunął swe długie, niezgrabne ręce w kieszenie i szedł.

Zdobywać trzeba gnieść wrogów i położyć im nogę na
pysznym karku i deptać i w
proch zetrzeć i nie znać miłosierdzia.

Rzucić się, jak lew, i walczyć i zwyciężać.

W mieście wrzało. Tłumy rozgadane, krzykliwe snuły się po
ulicach. Szli ludzie

jedni za drugimi długą procesją, stawali ciągle, a wtedy
wznosiły się z pośród

nich roz namiętnione głosy. Oczy błyszczały, głowy podnosiły
się do góry. Czuć

było rozkołysane serca, jak biły mocno, prędko, gwałtownie.

Judele szedł za innymi. Próbował zrozumieć, co się właściwie
dzieje. Pytał

nawet. Ale nikt nie miał cierpliwości głupiemu tłumaczyć to,
co każdy dobrze już

wiedział. Odpychano go, gdy się parł naprzód. A znajomi śmiali się, jak zwykle, z jego niemądrej miny. Niedojdą był przecież. «Zdobywać trzeba, walczyć, zwyciężać», powtarzał sobie, nieprzyjaciół deptać. — I szedł wciąż naprzód. Aż się natknął na tłum tak zwarty, że dalej iść nie mógł. Tłum falował, opierał się, miotał. I wciąż wybuchał zeń głos wielki, jak grom. O jakąś ścianę uderzał, którą usiłował skruszyć. Lecz ściana stała niewzruszona. Judele wspiął się na palce, wyciągnął naprzód chudą szyję, i ujrzał tam, przed sobą szeregi żołnierzy, i błyszczącą nad

niemi stal karabinów. Stali nieruchomi, a tłum się o nich rozbijał. «Walczyć, deptać nieprzyjaciół...» — brzmiało mu w uszach. I patrzył. Patrzył w te szeregi, wżerał się w nie oczami. Wszak to był wróg! I uczył, że mu serce tłucze się mocniej w piersi, krew się burzy i żarem się po nim rozlewa, a ramiona same wyciągają, się naprzód, na — Prząd! ku nim, ku tym wrogom! Ach, bić w nich! pić ich krew, rwać ciało w kawały, deptać, miażdżyć! Z ust rwały mu się słowa, bezładne, okropne na nich przekleństwa... Nagle, tłum się zakołysał, rozdzielił się, rozpadł i zawahał. Czuć w nim było niepewność, rzucić się,

Judelesie porwał. Przyszła chwila! On im pokaże. On ich
powiedzie na wroga, On
zwycięży!
«Naprzód!» — krzyknął — «Za mną!»
I skoczył.
Zatliły się iskierki małe. Coś huknęło. Judele padł.
Kule się posypały.

Zerwał się ryk straszliwy, i tupot uciekających.

Podniósł z trudnością ciężkie jak ołów powieki. Coś go w
piersiach szarpało
straszliwie.

«Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje?» przemknęło mu
przez myśl niejasne
pytanie.

Leżał na jakichś noszach, dźwigany na ramionach kilku ludzi.
Tuż przy sobie miał
ich twarze — a patrzyli na niego takimi oczami, jakich
dotychczas nie oglądał
nigdy. Były w tych oczach łzy, było uwielbienie, i cześć, i
miłość.

Przed nim zaś dziwny sztandar powiewał. Koszula jego
rozdarta i ociekająca
krwią. A sztandar ten niosła, wysoko do góry podnosząc,
piękna Ryfka.

«Widać, że mnie zastrzelili», pomyślał i znowu oczy zamknął,
bo ból się wzmaczał
okropny.

A dokoła brzmiał głos niezliczonego ludu — głos płynący z
jednej wielkiej

rozedrganej piersi — głos, co nad nim jak dzwon się kołysał, i
jak trąba złota
pochód jego wieścił, i jak burza grzmiał, i sławę jego, sławę
bohatera,
głosił...

I gięły się przed nim głowy — obnażały się czoła — tłum się
następował.

Słońce sypało nań garście złotych promieni.

A on posuwał się dalej, na barkach ludu niesiony...

Chybaż zwycięzcą był?...

Raz jeszcze podjęły się jego ciężkie powieki. I konające oczy
spotkały się z

oczami Pięknej Ryfki. Po jej twarzy płynęły łzy.

— «Och, Judel!» — zawołała — «jakiś ty wielki! Ty...
męczennik! Ty...bohater!

A słowa jej spłynęły mu na rozdarte serce, jak balsam wonny,
jak olejkiem

równym, obmyły mu rany — jak słodkim miodem rozeszły się
po wnętrznościach jego.

I zrobiło mu się lekko i błogo. Oto niesie go kochający naród
— oto witają go

złoczone baszty Syonu — oto palmypowiewają nad nim
wachlarzami swemi — i kwiaty

sypią mu pod nogi — i brzmi dokoła w ustach ludu chwała
jego — chwalana

wieki...Rozsuwa się zasłona tajemniczego przybytku... i
wstępuje on w jego

święte progi...A złote Cherubiny, stojące w ciszy nad

Arką przymierza, biorą go pod skrzydła swe... i niosą
wysoko... wysoko...
I tonie on w błękicie...
On — wódz swego ludu —
On — zwycięzca —
On — tryumfator...

PRZY LAMPIE

Wielka, jasna lampa, zwieszająca się z sufitu, przyćmiona
koronką abażuru.
Okrągły pod nią stół. Trochę gazet — roboty kobiece —
zabawki moich dzieci.
A dokoła noc.
Tylko nasze głowy, nad stołem pochylone, jasno oświetla
płonąca nad nami lampa.
Jest tu nas kilkoro — najbliższych. Matka staruszka, w białej
koronie swej
zacnej siwizny. Żona młoda i hoża, w aureoli złotych włosów,
schylona nad
wzorzystym haftem, w który raz w raz igłę wkłuwa i wyciąga,
błyskając przytem
brylantami pierścionków. — Ach! ten kojący, miarowy ruch
białej ręki kobiecej!
— Jest brat młody, z książką w ręku. Jest dwoje dzieci moich,
o jasnych
główkach, z ołówkami w garści, z wielkimi przed sobą
arkuszami papieru. Jestem i

ja.

A dokoła noc.

Brat mój czyta głośno jakąś śliczną po —

wieść. Czyta swym, metalicznymgłosem. A panie rzucają
czasem uwagi po-chlebne,
lub pełne zachwyty wykrzykniki.Przesuwają się przed oczami
ich wyobraźni sceny,
dIALOGI, krajobrazy, postacie ró-żne — dźwięczy język
piękny.

I jasno, ciepło, miło, barwnie i potulnie pod lampą, w kręgu
światła, co się na
na-sze głowy leje.I pogodnie tu, i cicho...Ach,tak cicho! Ach!
tak pogodnie!...

A dokoła ciemno — ciemno — czarno.

I nagle widzę: Jak świat szeroki i długi, tak objęły go cienie —
opadły lasy i

poła,doliny i góry, stepy i morza, wioski i hu-czne miasta —
ponure gęste

cienie!...owi-nęły go, oplotły, nakryły, położyły się na
nimgrubą, ciężką

warstwą — zgasiły wszystko — wypiły blaski — zdusiły
jasność — i leżana nim

ciężkie...ciężkie...Jak świat szeroki i długi,rozlały się po nim
potoki łez —

potoki krwi...

Tam, w ciemnościach, wiją się szarpane ciała — konają w
męce.

Tam króluje grzech — przemoc — nędza — głód i krzywda.

Tam ogromny jęk rwie się z ludzkichpiersi — ogromny krzyk
rozpaczy i trwogi —

krzyk buntu.

Tam gasną wszystkie nadzieje — i błagalne ręce podjęte ku
niebu drętwieją. — Bo
niebios w ciemnościach nie widać — bo niebios niema.
Nic — tylko ciemności.
I mijają lata — zapadają w otchłań stulecia — pokolenia po
pokoleniach następują
— rodzą się w męce, trwają przez oka mgnienie — i gasną. A
inne po nich
przechodzą — i znowu inne — i inne...
I żadne z nich nie widzi urzeczywistnienia swych marzeń.
Każde w grób się
kładzie z zawodem, ze skargą i z bólem.
A noc wszystko pokrywa. Gasi ból, gasi marzenia — gasi
ulotne promyki szczęścia—
gasi krzyk rozpacz i bunt pokrzywdzonych. I niema takiego
płomienia, którego by
ona nie zgasła.
Noc — władczyni świata.
A grób wielki stoi otwarty. I ten świat cały, te pokolenia, te
ludy wszystkie ku
niemu pędzą — ku niemu! I spieszą, spieszą w bólu i w męce
— biegną naprzód,
rozpychają się, miotają się, lecą — aby się weń położyć!
A potem znowu inne — i znowu inne...
I grób wszystko chłonie — nienasycony —

wiecznie ziejący otworem swej czarnej paszczy

A my siedzimy w jasnym kręgu płonącej nad nami lampy. I cicho nam, ciepło, bezpiecznie... tak cicho, jakby naokół nie brzmiał jęk świata — tak bezpiecznie, jak — gdyby krąg świata, w którym siedzimy, był wysepką i warownią niedostępną na bezdennym oceanie — jak żeby do nas sięgnąć nie mogły Noc, i Ciemności, i Śmierć.

Siedzimy spokojnie w jasnym kręgu lampy. A dokoła nas ból i noc. A pod nami — tuż, tuż pod nami — grób. Jakto! Czy my tego nie widzimy? Czy o tem nie wiemy? nie słyszymy? Spojrzałem na twarze matki, żony, brata i dzieci. Były spokojne. Nie, oni nie widzieli i nie słyszeli. I przypomniała mi się stara bajka wschodnia: Pewien człowiek zawisnął nad przepaścią, uczepiony o gałązkę bluszczu. Trzymał się mocno, spodziewając się, że ktoś nadejdzie i na bezpieczny brzeg go wyciągnie. A tymczasem, po bluszczu spływały krople miodu, słodkie i wonne. Więc wyciągał ku nim usta i zlizywał je językiem i cieszył się ich słodyczą i wonią, naraz, spojrzawszy w dół — i ujrzał pod

sobą straszego smoka, który, zaczajony w głębi przepaści, gotował się go

pożreć. Przerażony spojrział w górę, i ujrzał, jak dwie myszki,
czarna i biała,
biegały dokoła bluszczu, i korzeń jego podgryzały. Podgryzały
powoli, lecz
stale.

I zrozumiał, że niema ratunku. Za chwilę korzeń oberwać się
musi i on musi wpaść
w paszczę smokowi.

A miód jednak wciąż spływał po listkach
bluszczowych. Lecz jego nie mogła już znęcić ani woń, ani
słodycz jego.

Ujrzał już smoka.

Przypomniała mi się. ta bajka wschodnia — i patrzyłem dalej
na twarze moich
blizkich.

Oni smoka nie widzieli.

Nawet stara matka, co przecież tyle już oczu najdroższych
zamknęła na wieki co
wiedziała, że wkrótce i sama umrzeć musi — i ona nie
słyszała beznadziejnego
jęku świata, nie widziała bezcelowego dokoła galopu ku
wielkiemu grobowi, nie
czuła tych czarnych wokoło ciemności — nie ujrzała
dotychczas smoka na własne
oczy i jeszcze staremi ustami zbierała miód, ściekający po
listkach bluszczu.

Więc — — ja jeden?...

Tak. Ja tu jeden, w tym jasnym kręgu lampy, w tem zaciszu
domowem, w tej

bezpiecznej przystani, nad głowami najbliższych — nad temi
jasnymi główkami
moich małych dzieci — u boku młodej żony — w tej cichej
atmosferze domowego
szczęścia — ja tu jeden widziałem ból, zgrzyt, mękę
bezcelową, śmierć — i
nicość.

Ja jeden widziałem smoka. I to nie takiego, co miał tylko mnie
pożreć — lecz
tego, co od wieki wieków pożera i pożerać będzie wszelką
jasność i dobro i
piękno i życie.

Ja go ujrzałem na własne oczy — i już nie mogłem odeń
wzroku oderwać. I już nie
mogłem ust podnosić ku spływającym po bluszczowych
liściach kropelkom miodu.

Ja widziałem smoka.

?

Piotr Szmurło ukląkł przy konfesjonale.

— «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus» — zaczął.

— «Na wieki wieków» — odpowiedział głos z głębi.

— «Spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu,

Najświętszej Maryi Dziewicy... mówił

Piotr nabożnie, każdy wyraz wymawiając z uwagą. I zaczął
grzechy swoje wyliczać.

— Kilka razy zasnął przy wieczornych pacierzach. Dwie
wigilie nie suszył jak

należy. Podczas mszy, a szczególnie podczas kazania,
dopuszczał do siebie
światowe myśli, rozglądał się. Czasem zaklął brzydko — nie
bardzo często, nie! —
ale zdarzało się. Tyle co do Boga. — Względem bliźnich? No,
względem bliźnich —
to chyba niewiele jest do powiedzenia. Starą matkę szanuję, a
z żoną żyję po
Bożemu. Może tam i zdarzyło się kiedy posprzeczać, ale
chyba nie bardzo, boby
zapamiętał. A to
wcale nie pamięta. I czego by miał się sprze-

zczać, kiedy ona taka dobra, delikatna kobieta, wesoła,
pracowita, jemu i
dzieciom całkiem oddana. To pewno, że takiej drugiej i ze
świecą nie znaleźć!...
Ot, z parobkiem i z pastuchem — to raz była sprawa.
Przyłapał ich, jak owies ze
stajni wynosili, wziął więc i wyłupił. Ale sam nie wie, czy to
grzech? Bo, po
prawdzie, takie by było to dobrego słowa nie rozumie — tylko
kija się boi... Więc
jakże z nimi inaczej? — Tak, zresztą, nikomu, zdaje się
krzywdy nie wyrządził —
ani na ciele ani na duszy. Tyle co do bliźnich. — A co do
samego siebie?... cóż?
pracuje, nie leni się, nie łajdaczy — swoje robi, a cudzego nie
patrzy...
— «A czy czasem nie wypijesz zanadto»? spytał ksiądz.
— «Boże broń, ojcie duchowny! Toż ja zaprzysiężony...»

— «A, prawda! zapomniałem. A nie zazdrościsz innym? Nie narzekasz? Nie pragniesz zmiany stanu? rozpytywał kapłan. Pamiętaj, że niezadowolenie ze swego stanu, to także grzech. No, czy nie masz pokus w tym względzie?» Piotr przez chwilę nie odpowiadał. Badał sumienie swoje.

— «Nie ojczy» rzekł wreszcie. «Zmiany stanu ja nie pragnę. Bo i powiedzieć prawdę, jakież stan od mojego piękniejszy? Ja rolnik, świętą ziemię uprawiam, z żywiołem wszystkim i z ptactwem niebieskim żyję, i oddycham całą pierśią. A i człowiek ja wolny Czy ja komu służę? Czy ja komu się kłaniam? Prawda! pracować trzeba. Ale, dziękować Bogu, siłę w kościach mam, i folwarczki niezły, i głodu jeszcze nigdy u nas nie było. A nawet — powiedzieć szczerze — to każdego roku coś się odłoży na czarną godzinę. Tak czegoś? Nie! ani ja panom nie zazdroścę, ani nikomu na świecie. Bo któż jest odemnie szczęśliwszy? Kiedy o świtaniu wyjdę ja w pole, czy to z pługiem, czy z kosą — kiedy spojrzę na ten Boży świat — przestronno! wesoło! a rosa aż się skrzy — a skowronki dzwonią — a słońce podnosi się pomalutku, pomalutku, aż sypnie w oczy promieniami — Ach! to mnie tak aż w piersiach ze szczęśliwości rozpiera — takby, zdaje się, dusza ku temu

słońcu leciała!... Czegóż ja, ojciec duchowny, innym mogę zazdrościć? Kiedy mnie tak dobrze było... na moim zagonie — przy żonie, przy dzieciach... Tylko że... ot co... Biorą mnie, ojciec duchowny, na wojnę...»

— «Na wojnę!» zawołał kapłan całkiem po ludzku. I poruszył się żywo w głębi

konfesyonału. «Co ty mnie, kochany, mówisz! Na wojnę ?...»

— «Tak, ojciec...»

— Aj, aj, aj! Biedniż wy, biedni! Ale... nie może być! Toż ty, kochany, masz

troje dzieci — a i czwarte już wkrótce... »

— «E! to co? Oni na to nie patrzą, W rezerwie jestem, to i biorą.»

Chwilę trwało milczenie. Piotr niżej spuścił głowę, i widać, że łzy cisnęły mu

się do oczu, bo zaczął je chustką i pięściami rozgniatać.

Ksiądz mruzczał coś do siebie, i nie mógł jakoś odnaleźć swego dydaktycznego tonu

ani urzędowych napomnień. Był poruszony. Wszakże Piotr Szmurło był jego

najlepszym parafianinem. Rodzina taka zacna! A on sam pobożny, uczciwy, trzeźwy,

pracowity, dla kościoła hojny, dobry syn, dobry mąż i ojciec, dobry katolik.

Przykład dla całej owczarni. I żyjący przytem dowód, że Bóg w sprawiedliwości

swojej, cnotę wynagradza nawet na tym tu padole płaczu. A teraz biorą go na

wojnę! Zmarnieje taki człowiek.

— «Ach, Boże mój, Boże! Niezbadane są wyroki twoje!»
Ksiądz kręcił się, wzdychał. A wyjąwszy z kieszeni dużą
chustkę, zaczął głośno w
nią nos wycierać.

Piotr pierwszy się odezwał.

— «Tak, cóż robić! Byłem w rezerwie, tak i biorą. Nie mnie
jednego! Ciężko to
ciężko — Ale żebym ja przynajmniej w to uwierzył, że to sam
Pan Bóg tego chce...

A ja, ojciec w to za nic wierzyć nie mogę... Chociaż wiem że to
grzech — ale nie
mogę...»

— Ależ kochany... Jakże to?... Przecież Bóg...

— «Nie! Bóg tego nie może chcieć, abym ja, człowiek
spokojny, odrywał się od
swojej pracy, abym porzucił ziemię, rodzinę, obowiązki moje
— i szedł na drugi
koniec świata... ludzi zabijać! Toż to ojciec duchowny
waryacya! Nie! nie! to

chyba nie Pan Bóg tu rządzi!» zawołał nagle z gniewem.

Ksiądz, słysząc to, oprzytomniał. Poczł bunt w tej uległej
zwykle duszy,

usłyszał nutę wojowniczą w głosie swej owieczki. Więc
wróciły mu falą na usta

argumenty i napomnienia, gromy i rady, pociechy i obietnice
— i zaczął mówić.

Mówił, że świat cały jest w ręku Boga — że on nietylko

nas stworzył, lecz krwią i męką własnego Syna odkupił. Więc
nas kocha i czuwa
nad nami. To tylko naszym ludzkim oczom wydawać się
może, iż nas Bóg opuścił. A
tymczasem, co w Piśmie świętem powiedziano? Że i włos z
głowy naszej nie spadnie
bez Jego woli. A także, że wybranym swoim zsyła krzyże.
Wybranym — to jest tym,
które nad inne ukochał i którym nagrodę na tamtym świecie
gotuje. Więc trzeba
się okazać godnym tej przyszłej nagrody i z uległością wziąć
krzyż na barki. I
choć rozum nasz nie przenika Jego zamiarów, wierzyć, że
nic się nie dzieje
bez Jego świętej i najmędrzej woli.
Piotr słuchał. Słowa księdza zapadły mu do duszy. Słyszał
takie i tym podobne
wiele już razy, lecz teraz nowemi mu się wydawały i jak
słodki balsam spływały
po jego smutnem sercu. Wszakże był chrześcijaninem,
katolikiem dobrym — i chciał
tak wierzyć, jak go Kościół uczył. Ach, bardzo chciał tak
wierzyć!
«Więc ojciec duchowny» spytał — «to co mnie spotyka, to
tylko próba? Czy tak? Czy
napewno tak?»
— «Ależ tak! tak! To próba twej wiary, twej cnoty...»

— «I Bóg mnie nieopuści?»

— «Ależ nie! Bóg, ojciec miłosierny, jakżeby opuścić miał
dzieci swoje, które

Mu ufa? Nie! Tylko wierzyć trzeba, modlić się i odpędzać pokusy. Bo to szatan chce wlać zwątpienie w twą duszę. Nie daj mu się! Trzymaj się Boga, zaufaj Mu na ślepo, a zobaczysz, że on się zmiłuje. Przebędziesz straszną próbę i wrócisz do swoich. My tu wszyscy modlić się będziemy za ciebie. A wiesz przecie, że powiedziano: «Proście, a będzie wam dane.» Piotr skłonił głowę. Coś go w gardle dławilo. Nie mógł mówić. Lecz balsam kapłańskich słów oblewał mu serce.

— «A teraz. — ciągnął dalej ksiądz — przystępując do stołu Pańskiego, przyrzeknij temu Bogu, który zejdzie do ciebie, iż przeciw jego woli szemrać nie będziesz. On co tyle dla ciebie cierpiał, teraz żąda od ciebie ofiary. Nie targuj się o nią! Zdaj się na Jego wolę i wierz Jemu ślepo. Przyrzekasz?»

— «Przyrzekam» wyszeptał Piotr.

I w chwilę potem, w ciszy małego kościółka, nisko pochylony przed Chrystusem w ołtarzu, Piotr obietnicę swą powtarzał. « Wierzyć będę mocno. Choć nie rozumiem,

a wierzyć będę. Ależ za to Panie Boże, «daj mi nie splamić się żadną zbrodnią, ani podłością, ani morderstwem — i wrócić potem do swoich...»

I zdało mu się, że w głębi swej duszy słyszy głos mówiący,
głos Pana: «Kto mnie
miłuje, a zawsze ze mną szczerze postępuje, tego ja także w
jego każdą trwogę
nie zapamiętam, a owszem wspomogę...»

Gdy Piotr po raz ostatni uściskał żonę
kładał dłonie na główki swych dzieci, był pewien, że serce
pęknie mu z bólu — i
że trupem padnie na progu swego rodzinnego dworku — i że
tak pozostanie — tu, na
ojczystej ziemi. I pragnął tego.
Lecz potem, gdy się znalazł w toczącym się pudle,
zamkniętym i po brzegi ludźmi
wypełnionym, gdy wsunięty w ciemny kąt, uczuł się
niesionym naprzód niewidzialną
siłą, pędzonym razem z tymi tysiącami ku Jakiejś nieznanej
przyszłości, ku
jakiemuś nieodwołalnemu losowi — wtedy ustąpił ból,
zdrętwiała myśl — i zapadł w
stan zupełnego zubożenia. Niczego nie chciał — niczego
się nie obmawiał —
nie smucił się i nie buntował —

dusza jego pozostała tam — w domu. A tu tylko powłoka jej,
nieczuła i bezmyślna,
dążyła naprzód...
Naprzód!...
Mijały dni i tygodnie. Zmieniały się krajobrazy, przesuwały
się miasta, rzeki,

góry — wiały wichry i ścisnęły mrozy. — Dokuczały
niewygody, głód i chłód, i
śmiertelna nuda, i bezczynność — i niewiada moc i
nierozumienie tego, co się
wokoło dzieje. Wszystko Piotr znosił w ciszy, w ja kiemś
osłupieniu, które go od
wyjazdu ogarnęło, i w którym trwał jak w letargu.
Przy nim — towarzysze niedoli kłócili się, hałasowali,
śpiewali, pili, robili
przypuszczenia, znosili wiadomości i plotki, troszczyli się o
tysiące
drobiazgów. On tkwił nieruchomy i obojętny na wszystko,
spełniając, jak automat,
rozkazy, wodząc zga ślepi oczami po świecie. Nie myślał — i
nie chciał myśleć.
Czasami tylko, we względnej ciszy, jaka z nocą spływała,
nagle poruszało się na
dnie jego mózgu pytanie: «I naco to wszystko?»
I wtedy zrywał się i siadał na swem posłaniu, patrząc
przerażony dokoła. Widział
w półmroku ciała bezwładnie leżące,

uśpione mocno. Słyszał turkot pociągu, co leciał naprzód, i
niósł... strawę
armatom...
I coś nim wewnątrz targało: «Na cóż to wszystko?...»
Ale nie! nie chciał myśleć. I nie powinien... Wszakże ksiądz
powiadał, że Bóg
tak chce — że trzeba wierzyć i ufać...
Więc prędko, prędko czynił na sobie znak krzyża —
zdejmował z szyi różaniec — i

szeptać zaczynał pacierze.

Wreszcie po wielu dniach i tygodniach, po różnych postojach, popasach, wyczeki

waniach — opuszczono wagony i podążono na posterunek.

I znowu na posterunku zaczęły się długie dni bezczynności i nudy. Głód i chłód

dokuczał, lecz przede wszystkim żarła tęsknota.

I znowu coraz częściej, w bezsennych nocach, zaczęło stawać przed Piotrem

rozpaczliwe, fatalne pytanie: I naco to wszystko? Jakież jest sens w tem wydarciu

setek tysięcy ludzi z ich rodzinnych domów i spędzenia ich tutaj nato, aby

zabijali innych Judzi, do których żadnego nie mogą mieć

żalu... kto wymyśleć mógł rzecz tak okrutną i tak... głupią...

Odpędzał od siebie te myśli modlitwą, różańcem, znakiem krzyża i westchnieniami

do Pana Wszechmogącego. Odpędzał je i walczył. Lecz bywały noce tak straszne, że

w «ziemiance» wytrzymać nie mógł. Zrywał się i wychodził na świat — i szedł,

szedł przed siebie, aż go ranne obozowe trąbki do odwrotu znagłały.

Także była to ulga prawie i radość, gdy się rozeszła wieść, iż wyznaczono jego

batalion do atakowania jakiegoś ufortyfikowanego wzgórza, i że dzisiaj wyruszyć

mają. Wszystkie twarze, znudzone bezczynnością, rozjaśniły się. Żartowano,

śpiewano pieśni i urągano Japończykom. A na noc, choć się zerwał wicher ze śnieżycą i huczał, i zasypywał świat — ruszono prawie wesoło.

Wzgórze, o które chodziło, było zaledwie o milę oddalone; lecz w zawierusze zmylono drogę, błędzono przez noc całą, i dopiero późnym rankiem ujrzano zdała, na białym tle śniegu, posuwające się sznury czarne — tu i owdzie przebiegające punkciki — pnące się pod górę ciemne roje —

a ponad tem wszystkim, raz po raz przelatujące obłoczki i raz po raz wybuchające iskierki. W powietrzu, prócz wichru i śnieżycy, jakieś inne huczały głosy.

Ale batalion, w którym się znajdował Piotr, tak był strasznie wymęczony całonocnym błakaniem się w wichurze, tak był przemarznięty i zgłodniały, że jedna tylko myśl tkwiła we wszystkich mózgach — odpocząć! Choć przez chwilę wyciągnąć się na tej zamarzłej ziemi — rozpalić ognisko rozgrzać skostniałe dłonie!

Zdawało się nawet, że uda się tę chwilę otrzymać. Oficerowie posiadali z koni — żołnierze broń w kozły poskładali — zabłysła nadzieja. Ach! zjeść co gorącego! —

Ci, którzy mieli trochę wódki, wlewali sobie do ust jej ostatnie krople.

Naraz zatrąbiono — Dano rozkaz: do ataku!

Zrobił się ruch, porwało się wojsko, uformowano szeregi — i batalion ruszył ku

wzgórzu — zrazu wolno, potem coraz raźniej, chyżej — wreszcie biegiem prawie

zaczął się wspinać pod górę.

Huk wzmógł się nad głowami. Coraz gęstsze obłoczki jęły się unosić. Jakieś

krzyki — jakieś jęki rozdarły powietrze — Czerwone kule migały.

Wspinali się żołnierze po ostrych skałach — śpiesząc — śpiesząc — jakby tam w górze było ocalenie...

Huk się wzmagał. Krzyk stawał się nieustanny.

Nieprzyjaciela nie było widać. Nie było przeciw komu się bronić. Szczyt pagórka

wydawał się bezludnym. Tylko kule ogniste coraz gęściej latały — tylko huk

zlewał się w — jeden nieustający hałas. I coraz częściej ktoś w szeregu upadł i nie wstał.

I wciąż nie było widać nieprzyjaciela.

Szeregi szły śpiesząc, śpiesząc pod górę. Zabitych i rannych odsuwano na bok i

spieszono dalej. Ale ta nieobecność nieprzyjaciół zaczynała drażnić. — «Psy!

schowały się i szczekają!» mrużano. Szczyt wydawał się już blisko. Byle dopaść,

to się ich tam wszystkich wyrznie, wybije — i będzie wzgórze
nasze.

Nagle — stało się coś dziwnego. Ucichły armaty — i cisza aż
zadzwońiła w uszach
idących.

Ale chwilę tylko. Bo oto z góry zleciał krzyk ogromny, krzyk
ludzki — i czarna
ludzka chmura spadła na idący batalion.

— «Na bagnety!» zagrzmiała komenda. Ale i bez komendy,
już nastawiono bagnety. I
porwano się naprzód z dzikim, zwierzęcym rykiem.
Nareszcie było z kim walczyć — kogo bić, mordować —
drzeć w kawały, nasycać się
krwią! Nareszcie było ujście dla nagromadzonej wściekłości
— i bestya dzika, na
dnie duszy hodowana, mogła swobodnie pohulać... pohulać!...
Rzuciły się na siebie wrogie siły. Powstał zamęt, krzyk —
wicie się szczepionych
ze sobą ciał — łomot uderzających kolb — głosy urwane —
szczęk żelaza — chrzęst
łamanych kości — złowieszcze sapanie rozjuszonych piersi —
przekleństwa — i jęk.
Ku szaremu niebu — ku cichym, nieskończonym i czystym
przestworzom — ku słońcu
jasnemu, co tam za chmurami się kryło — szedł głos
nienawiści, szału, wycie
zwierzęce tej ludzkiej rodziny, co się tu gryzła, dech ognisty
tych ludzkich
piersi, i woń tej bratniej krwi...

Piotr, który z początku szeptał modlitwę i myślał o śmierci,
gdy ujrzał
Japończyków, dostał jakby obłądu. Zapomniał o niebezpie-

czeństwie. Odezwały się w nim wszystkie znoszone dotąd
bóle, krzywdy, tęsknoty —
odezwało się zmęczenie i głód — poruszyły się uśpione gdzieś
w głębi gadziny —
przepełniona czara goryczy wylała się. Zdało mu się, że to oni
właśnie — ci
mali, żółci ludzie — są wszystkiemu winni. Uczuł, że na nich
musi się zemścić.
«Za moje krzywdy!» mrucał przez zaciśnięte zęby. I rwał się
za innymi naprzód,
dyszac nienawiścią. A gdy mu jakaś twarz japońska stanęła
tuż przed oczami, on
rzucił się na nią z nastawionym bagnetem. Ta znikła — inna
nastąpiła... Piotr
walczył. Rwał się, jak wściekły zwierz — bódł, tłukł, ranił,
zabijał. — Nie
wiedział już co się z nim dzieje. Tętniały mu skronie — i
jakieś czerwone
płachty latały przed oczami. Mrucał jeszcze: «Za moje
krzywdy!» lecz nie myślał
już o nich. Nie myślał o niczem. Z jego istoty wydzielila się
inna jakaś,
nieznana dotąd, obca, a straszna — i parła naprzód — i wołała
o krew — o krew —
o krew!
Naraz, przez huk bitwy, przedarły się dźwięki jakichś tręb. W
zbitej masie

ludzkiej coś się zachwiało, zakołysało — i co-

raz niżej staczać się zaczęło po pochyłości. Cofano się.
Lecz nieprzyjaciel siedział na karku i razem zjeżdżał na
równinę. I nie ustawała
walka — i krzyk — i jęki...
Piotr zrazu nie zrozumiał. — «Jakto! cofać się? uciekać? A nie
wybić ich do
ostatka? O nie! Bić jeszcze! jeszcze! zabijać!...»
Lecz poczucie dyscypliny wzięło górę nad rozjuszeniem.
Kazano — słuchać trzeba.
Zawrócił więc i zbiegł za innymi w dół.
I teraz dopiero uczuł strach. Zdawało mu się, że gdy na nich
nie patrzy, tysiące
Japończyków na niego czyha, za nim biegnie i chwytą go
małemi, żółtymi rękami.
Włosy podjęły mu się pod czapkę, zęby zaszczękały — i
ściskając karabin w obu
dłoniach, uciekał co tchu.
Aż oto naprawdę uczuł na sobie małą, żółtą rękę i posłyszał
cienki, a chrapliwy
głos. Stał za nim młodziutki żołnierz, dziecko prawie, z
dziwnie łagodnym
uśmiechem na ustach i coś mówił — może do niewoli chciał
brać i uśmiechał się
wciąż.
Lecz Piotr nie słuchał słów i nie usiłował znaczenie ich pojąć.
Instyktownym
ruchem broniącego się zwierza," szarpnął

się, odskoczył — i z całej siły grzmotnął kolbą w pierś małego Japończyka.

Trzasnęły zgruchotane kości. Japończyk padł na wznak — bez słowa — bez jęku.

Uśmiech zaczął zastygać na jego żółtej twarzy — oczy zaczęły pokrywać się mgłą. —

Raz jeszcze spojrzął przytomnie — Błysnął czarnymi źrenicami, objął niemi ziemię i pochmurne niebo — i zastygł.

A Piotr stał nad nim, jak skamieniały. Patrzył — patrzył w twarz małego żołnierzyka, która krzepła i siniała na brzegu — i w te jego czarne, zamarłe źrenice. Patrzył...

Tylko gdzieś z samego dna jego duszy — wstało znowu pytanie: I naco to wszystko?..

Jakim sposobem znalazł się potem Piotr Szmurło we własnych szeregach, jak wrócił do obozu i znowu do swojej ziemianki — tego nie mógłby opowiedzieć. Był, jak gromem rażony, niemy, głuchy, wpatrzony w jeden przed sobą punkt, zaledwie rozumiejący co do niego mówiono. «Zwaryo wał», powiadano, patrząc na niego. Lecz, że była to rzecz zwykła, iż po pierwszej

bitwie wielu waryowało, więc nie zwracano na to uwagi.

A on, w dzień i w nocy, przy posiłku, przy mustrze na polu i w ziemiance, wśród ludzi i w samotności, nie przestawał widzieć przed sobą twarzy małego Japończyka — jego oczu, zachodzących mgłą — i jego stygnącego uśmiechu. — A w głębi jego duszy coraz wyraźniejszy odzywał się głos: «I naco to wszystko? POCO ja go zabiłem? Co mi on zrobił złego? Dlaczego ich wszystkich zabić chciałem? i byłem, jak ten wściekły pies, ja człowiek cichy, brzydzący się krwią. A powiedziano: nie zabijaj! Więc teraz co? Teraz mam straszną na sumieniu zbrodnię».

«Nie — uspokajał samego siebie — «niema tu żadnej zbrodni. Żołnierz na wojnie ma prawo zabijać. Tożby inaczej wojny nie było».

Nie przestawał jednak czuć w głębi duszy wyrzutów i twarz konającego Japończyka nie schodziła mu z przed oczu. Ucieszył się więc bardzo, gdy przybył do obozu kapelan wojskowy i zaraz poszedł się wyspowiadać. Liczył na to, że spowiedź ta spokój mu wróci, bo wierzył w grzechów odpuszczenie.

Ksiądz był bardzo zajęty — czekano na niego wszędzie. Więc paru słowami odprawiał cisnących się do spowiedzi, dawał absolucję i zwracał się do

następnego. Na wyznanie Piotra, że zabił człowieka —
uśmiechnął się. — «Jako —
zabiłeś? Podczas bitwy? Ależ, kochany, toż twój obowiązek!
Źle, że tylko
jednego». I prędko coś wypowiedział o niepotrzebnych
skrupułach, naznaczył
pokutę, dał rozgrzeszenie i odprawił.
«Niepotrzebne skrupuły — tak, tak, to tylko niepotrzebne
skrupuły» — powtarzał
sobie Piotr, wracając z nabożeństwa.
I postanowił nadal o tem nie myśleć.
Dzień przeszedł jako tako. Sypano jakieś szańce i ustawiano
na nich armaty.
Robota była ciężka, a przytem mróz i wicher dokuczał. Więc
gdy wieczorem
żołnierze zeszli z szanćów i znaleźli się znowu w swoich
ziemiankach, nad
kociołkiem gorącej strawy, we względnie ciepłej atmosferze,
rozwiązały się
języki, zaczęły się opowiadania, wspomnienia i pieśni — a
potem smaczny,
kamienny sen na zamarzłej ziemi.
I Piotr, zmówiwszy pacierze, zasnął zrazu mocno, jak kamień.
Lecz wśród nocy
zer-

wał się. Japończyk był przy nim. Widział oczy jego,
spoglądające na świat po raz
ostatni — widział uśmiech stygnący na żółtej twarzy.
Piotr skoczył na równe nogi.

Strach okropny trząsł nim i miotał — czuł, że mu serce zamiera, krew krzepnie w żyłach.

Więc nie było grzechów odpuszczenia?...

Wypadł z ziemianki na powietrze. Mróz go owionął. Zaczął iść, iść prędko — uciekać. — Lecz konająca twarz japończyka była wciąż przed nim... wciąż przed nim...

Jestem przeklęty — przeklęty!...» zary czał Piotr, rzucając się twarzą w śnieg.

Piotr Szmurło brał udział w kilku potyczkach, z których wyszedł cało, a swoją odwagą i subordynacją zdobył uznanie zwierzchności i podwyższenie rangi.

Aż pewnego mroźnego ranka wyprawiony oddział jego na rekonesans, został otoczony z nienacka ze wszystkich stron i prawie co do nogi wytepiiony. Piotr, zaraz na początku obalony pękającym granatem, pozostał na placu.

Długo zapewne nieprzytomny leżał, bo,

gdy się ocucił, była noc. Widział niebo ciemno szafirowe nad sobą i iskrzące się na niem gwiazdy. I wydało mu się, że leży na trawie, w swoim sadzie, pod

dojrzewa — jącemi jabłoniemi. Zdarzało się bowiem, że latem, gdy w izbach było duszno, brał z sobą poduszkę, wołał Burka i kładł się pod jabłoniemi. A gwiazdy

świeciły tak ślicznie! Gdzieżby indziej tak ślicznymi być
mogły jak w domu!
Spojrzał na nie — i zamknął oczy, bo mu się spać chciało.
Ach, spać jeszcze...
Lecz nagle — tuż blisko, coś się poruszyło — coś zajęczało.
Piotr zerwał się — chciał się podnieść — i nie mógł.
I oprzytomniał.
Nie, nie był on w sadzie swoim pod dojrzewającymi
jabłoniami. Był daleko,
daleko, na polu bitwy — pod mroźnym, pod nielitościwym
niebem. Przypomniał sobie
— wyjście z obozu — nagły napad — świst kul — strzały — i
pękającą tuż przy nim
bombę...
Znowu spróbował się podnieść, Lecz opadł na ziemię,
przeszyty szalonym,
niehumanym bólem.

«Jestem ranny», pomyślał. I wstrząsnął nim dreszcz.
Wsparł się jednak z wysiłkiem na łokciu — i spojrzał. Zamiast
nóg swoich,
zobaczył jakąś krwawą miazgę. «Oderwało», rzekł do siebie
— «granat oderwał — i
to obie. A więc... teraz... śmierć».
Dziwił się tylko, że znów bólu nie czuje. Nic — tylko chciało
mu się spać.
Spojrzał na gwiazdy. Błyszczały jasno, mrugały, i spokojnie
patrzyły na ziemię.
«A więc teraz... śmierć». I dobrze, bo jakieżby to było życie z
pogruchotanymi
nogami? Kaleką być? Nie — lepiej śmierć.

Lecz, jeśli ona nadchodzi, należałoby duszę przygotować.
Choć pacierz zmówić,
pomodlić się. Tylko, że tak się spać chce! Taka ogarnia
senność ciężka...
ciężka...
Zdjął jednak różaniec z piersi i zaczął w palcach przebierać
ziarna, a ustami
szeptać: «Ojcze nasz, któryś jest w niebie»... «Zdrowaś
Marya, łaskiś pełna»...
I leżał tak pod gwiazdami, stygnąc powoli we własnej krwi,
zamarzając i tężając
w chłodzie nocnym. I ustami wymawiał słowa modlitwy.
Mówił... mówił...
Myśl odleciała stąd daleko — i znowu zawisła nad cichym
dworkiem pod jabło-

niami. Tam ciepło, zielono — tam słońce świeci i ptaszki
śpiewają — tam pachnie
rola, świeżo zorana — tam żony śmiech wesoły — tam
szczebiot dziecinny i tupot
tych małych bosych nóżek.
Naraz zdało mu się, że słyszy płacz dziecka. Pewnie to
najmłodsze, co to jeszcze
w kołysce.
Zerwał się. Tak, szedł płacz rzewny i rozpaczny, szedł jęk i
wołanie. Lecz nie z
dziecinnej kołyski szedł: ziemia jęczała, czarna ziemia,
zasłana konającymi.
Jęczała pierś tego ludu, co ginął tu, nie wiedząc dlaczego i
poco. Jęczała ta
ludzka trzoda, porznięta dłońmi bratniemi.

I nagle w Piotrze zerwał się bunt. Me! nie! tak być nie może!
Dlaczego giną te
tysiące? Dlaczego on?... Ginę bez własnej zgody, rzucone
jakaś złą, nieznaną
siłą do mogiły. Dlaczego umierają w grzechu — marnie
przepadają, gdzieś, w
ciemnościach samotnie zamarzając!...
I za co? I dlaczego?
Nie! On nie chce tak... nie chce... On się nie godzi....
Wszakże jest Bóg.
Gdzież On?
Wszakże On rządzi światem — On, po —

teżny i litościwy. Siedząc na wspaniałym tronie swoim,
jednym skinieniem obala
państwa, jednym skinieniem buduje światy. Starczy Mu dłoń
wyciągnąć i rzec:
«Stań się!», a ziemia nowa wyrasta z niczego. Bo On Bóg,
król nasz. On
utwierdził mocą Swoją morze, Jego jest dzień i Jego jest noc
— On zdziałał zorzę
i słońce. On uczynił wszystkie granice ziemi. Czyżby nie mógł
również jednym
słowem: «Stań się!» zwyciężyć zła, co się na tej ziemi pleni?
Czyżby nie mocen
był? Powalić nieprzyjaciół pod stopy swe i wywyższyć ciche...
Zdeptać kłamstwo i
złość i przemoc i nienawiść bratnią, a powiać nad światem
miłością.
Czyżby nie mocen był?

A czemuż duch złego, szatan wyklęty, umie świat uwieść na swoje drogi? Umie te tysiące i te setki tysięcy rzucić na siebie wzajemnie, aby się gryzły i tępiły, aby się pławiły w braterskiej krwi, aby ginęły w grzechu — Czemuż on umie?...

Silniejszym jestże... od Boga?

O, nie! nie! Od takiej myśli nawet bronić się trzeba.

I Piotr znowu zaczął się modlić:

«Boże wielki i dobry, oto mię widzisz,

dziecię Twoje, stworzenie Twoje. Kazałeś mi żyć — i żyłem, jak umiałem najlepiej, święte Twoje przykazania pełniąc. Ciebie, Boże czciłem każdego wieczora i ranka. Dnie Twoje święte święciłem. Ojca i matkę i władzę wszelką szanowałem. Me kradłem. Nie cudzołożyłem. Nie pożądałem ani żony cudzej, ani żadnej cudzej rzeczy. Nie świadczyłem fałszywie. I nie chciałem zabijać.

Pracowałem uczciwie i cicho, chwając Ciebie, Panie i dziatki swe tej chwały

Twojej ucząc. Aż zabrano mnie z mojego domu, za Twoją wolą, Panie, bo sam

mówisz, że włos z głowy nie spada bez woli Twojej, i przysłano mnie tu, abym

bliźnich moich zabijał. I zabijałem. Ach, czy Ty, Panie, mogłeś tego chcieć?...

Aż oto i na mnie kolej przyszła. Mam obie nogi urwane, krew uchodzi, i jeśli nie

z ran, to od mrozu, umrzeć muszę zaraz. I nie wiem, Panie,
czy to Ty chcesz abym
tak umierał grzesznie, marnie, głupio?... aby tak marły te
tłumy całe? Przecież
to stworzenia Twoje! Czyż możesz tego chcieć?... Gdzież
więc dobroć Twoja ?»...
Piotr urwał i czekał odpowiedzi.
Lecz dokoła były tylko jęki, a w głębi jego duszy żaden głos
się nie ozwał.

«Panie!» zaczął po chwili — «ja chcę wierzyć, że to Ty
światem rządysz. Choć
zrozumieć nie mogę, naco to wszystko, ale chcę się zgodzić z
Twoją świętą wolą.
I już nie proszę o życie... Chociaż tu szatan zwycięża, ja
jeszcze chcę wierzyć,
że Ty jesteś silniejszy. Lecz umocnij moją wiarę! Daj mi znak,
że jesteś, że
czuwasz, że grzechy odpuszczasz. Przemów, Panie, do duszy
mojej, a umrę
spokojnie...»
Urwał znowu i czekał. Lecz dokoła były tylko jęki, a w głębi
jego duszy żaden
głos się nie ozwał.
«Panie!» mówił znowu Piotr — «Panie, ja już umieram!
Czuję, że stygnę, że krew
cała uchodzi — w oczach mi się mroczy. — Spiesz się, Boże
mój, pociesz mnie w
tej ostatniej chwili!... Wszakże ja... sługa Twój wierny...
Zawsze Tobie
ufałem... A teraz... tak straszno...» I czekał znowu.

Na czarnem niebie iskrzyły się gwiazdy — daleko, wysoko nad głową. A tu, w mroźnym powietrzu, przelatywały szepty, szmery, jęki, płacze i wołania rozpaczne.

Mróz ścinał lodem i głużył wszelkie życie. Ku niemu się skradał, nad nim zawisał, siny, blady mróz! I zdawało mu się, że zimną

rękę położył mu na czole. A była to drobna, żółta ręka... I ujrzał nad sobą żółtą, drobną twarz zabitego Japończyka, ze strasznym na ustach uśmiechem.

Pochylała się nad nim nisko, coraz niżej... I śmiała się... śmiała się...

Piotr wstrząsnął się cały. I zaczął wołać do Boga:

«Panie! mów, rzeknij słowo! Niech wiem, że jesteś. Niech wiem, że grzechu tego nie mam na sobie — że nie jestem przeklęty. — Panie, spiesz, bo już umieram...

Lecz żaden głos się nie ozwał. Ciemno było i mroźno.

«Panie, Panie! czyś ty mnie opuścił?...»

I ręce obie wyciągnął do czarnego nieba, błagalnie, modląco... I czekał.

A wtem, daleko, daleko — gdzieś na widnokręgu — zamajaczył promyk. Powoli,

powoli rozlewał się po niebie, blady, nikły, drżący.

Czy była to północna zorza? Czy była to jutrzienka? Czy był to promyk nadziei?

Nad tą biedną ziemią, ociekającą krwią swoich dzieci...

Nad temi ciałami porwanymi, a drgają — cemi jeszcze w ostatniej męce...

Nad temi duszami, co się wydzierały ze swych powłok i
odlatywały w zwątpieniu, w
bojaźni, w trwodze, ku nieznanym bytom... Nad tą otchłanią
ciemną — Szła z
bezgranicznych dalekości, z innych jakichś światów, aż z pod
gwiazd może, jakaś
zorza jasna...
Piotr gasnącemi oczyma patrzył w nią — patrzył.
Kładła mu się ona, ta zorza różowa, na te gasnące oczy, na
czoło zroszone potem
konania, na usta pełne gorzycy, na to serce co już ostatnie swe
bezlądne
wybijało ruchy.
Powoli, wzniesione błagalnie ramiona rozplotły się i opadły.
Usta się rozwarły,
jakby jeszcze pytać o coś chciały. Oczy zaszły mgłą i zagasły.
I pozostał tak, bezkształtną bryłą, w kałuży krwi własnej, z
twarzą zwróconą ku
gwiazdom, ze wzrokiem utkwionym w idącą ku niemu jasność
— i z zastygłym,
bólsem na ustach pytaniem...
A nad nim wschodziła zorza...

PRZED ŚWITEM

Miasto spało snem twardym, i cisza była dokoła pomnika. Ani
światełka nigdzie,
ni ruchu.

Stał mocno na granitowej podstawie człowiek o ramionach
szerokich, w obcisły
mundur opięty, i wspierał się na kiju sękatym i za pałasz się
chwycił. A twarzą
buldoga srożył się ciemnej nocy i pustym ulicom śpiącemu
miastu. Straszna była
to twarz, rozżarta i szpetna, którą księżyc, wyrzawszy z za
chmur, chwilami
oświecał. I była jakby emblematem zła i uosobieniem
brzydoty i skamieniałej na
wieki furii szaleńczej.

Stał i patrzył wciąż rozjuszonymi oczami przed siebie i za kij
chwycił, jakby
nie dość mu było słowa i rozkazu, jakby się rwał do
własnoręcznego mordu.

A ludzie spali.

I gwarzyły między sobą stare klony ogrodu, wychylając,
ponad murem olbrzy-

mie konary; drżąco odpowiadały listki na — w półzeschłych
topoli; nadciągał wiatr
świeży od rzeki i niósł zapachy wilgotne; zegar na katedralnej
wieży wydzwaniał
kwadrans — i biegły spychając się w wieczności, minuty i
sekundy. Na wy sokiem
niebie gwiazdy mrugały, pędziły chmury, i księżyc to rzucał
blaski na pusty plac

i na posąg straszego człowieka, to się krył przelekle za
czarną zasłoną.

Podczas snu żywych ożyły rzeczy... A także i umarłych
duchy...

Bo oto wiatr głośniejsz zahuczał, naleciały chmury ciemne,
powiały skrzydła jakieś

po niebie, coś zaszeleściło, jęknęło i z cieniów wysuwać się
zaczęły istoty

ludzkie, wiotkie, przeźrocze.

Płynęły powietrzem cicho, z wysokości fuwały i kupiły się
razem.

A było ich coraz więcej i więcej.

Byli starcy o siwych włosach, były ko biety z małemi u piersi
dziećmi, byli młó

dzieńcy o twarzach wyniszczonych i bla dych, o oczach
zapadłych, lecz

pałających. A na obnażonych ramionach mieli ranysine i
krwawe, a w piersiach

dziury odkul, a dokoła niejednej szyi sina od powrozu pręga.

Lecz na wszystkich licach spokój był i uśmiechy.

Sfruwali cicho z nieskończonej dali i podawali sobie w
milczeniu dłonie i trwali

w uścisku serdecznym.

A było ich coraz więcej i więcej, i zappełnił się nimi cały plac
dokoła pomnika.

Aż ozwał się głos jednego z nich, młodziana o jasnej lwiej
grzywie. I mówił:

«Oto przybywamy, my, z dalekich światów,

Męczeni obrońcy ojczyzny i wiary.

Oto przybywamy na świt dnia nowego,

Krwią naszą ofiarną drogo kupionego.
Chociaż kości nasze już się rozsypały,
Duch nasz żyje jeszcze w sercach Polski całej.
I w tym nowym świecie, wspólnie z żyjącymi,
Cieszyć się my przyszli, my, dzieci tej ziemi,
My, co matkę naszą na śmierć ukochali —
My w niej żyć będziemy na wieki... na wieki...»
— «Na wieki... na wieki... my w niej żyć będziemy...»
zaszeptał chór duchów. A
jeden, w długą kapłańską suknię odziany, zbliżył się do
pomnika strasznego
człowieka i, podnosząc dłoń, na której że lano wyłobilo
ślady, rzekł: «Słyszysz
ty, kacie! —
Pomimo zadanych nam przez ciebie srogich mąk i śmierci —
Pomimo twych szubienic, kazi i nahajów.

Pomimo, żeś wydzierał z łona matek nie — mowleńta i
niewiasty nasze żołdactwu na
hańbienie wydawał. —
Pomimo, żeś wsie z dymem puszczał, a lud nasz pędził w
dalekie stepy do niewoli.
—
Pomimo żeś burzył kościoły nasze i zaorywał dwory —
Pomimo żeś brata na brata szczał. —
Pomimo żeś nawet kościom naszym żałował spokojnej
mogily, a imię nasze usiłował
zohydzić przed światem. —
Pomimo całego piekła, któreś przeciw nam rozpętał, pomimo
ciebie i wszystkich
szatanów twoich. —

«My — żyjemy!»

— «Żyjemy — żyjemy na wieki!» szepnął chór duchów.

— «Czy słyszysz? Żyjemy i przychodzimy tobie i złości twej urągać. My katowani,

my głodzeni, my pałkami bici, my rozstrzelani, my powieszani, my tu na ziemi

naszej stoimy i wyglądamy świtu i wierzymy w dzień wolności, za któryśmy życie

dali — i już, już widzimy promienie wschodzącego słońca

A ty?

Tyś się tu na tej ziemi, w kamień obró-

cił — w bezwładną bryłę. Patrzysz jeszcze gniewnymi oczami na owoc dzieł twoich.

Aleś martwy i niemy. A u stóp twoich z krwi naszej, przez ciebie przelanej,

wyrasta nowe życie, wyrastają dziedzice myśli naszej.

I przez tę krew przelaną my żyjemy.

A tyś martwy, bezbronny — głaz bezużyteczny. Ludziom na pośmiewisko, wiekom

przyszłym ku ohydzie.

Gdzie twoje dzieło? Gdzie moc twoja?

Słyszysz Wieszatielu...?»

Na pomniku twarz strasznego człowieka nie drgnęła. Złe oczy patrzyły wciąż przed

siebie, nieruchome, groźne, lecz martwe.

— «W kamień się obrócił» duch wyrzekł odchodząc — «a my...»

— «A my żyjemy na wieki» szepnął chór duchów.

W DZIEŃ PATRONA

W zamkowym kościele, pod malowaną kopułą, w srebrnej trumnie spoczywa święty Królewicz. Spoczywa, ale nie śpi, leży w płaszczu czerwonym, gronostajami obramionym i w czapce wielkoksiażęcej. Bujne włosy spadają mu na ramiona — ręce pobożnie złożone. Oczy ma przymknięte, lecz słyszy wszystko i wszystko odczuwa.

Słyszy skargę tych tłumów, co się dzisiaj cisną do jego ołtarza. Słyszy ich

wołania: «Ratuj nas patronie święty! Ratuj lud twój

Królewiczu! Wstaw się za

nami do Boga i wybaw z udręczenia i z męki!»

A tłumy to niezliczone — mężczyźni i niewiasty, biedni i

bogaci, prostaczkowie i

uczni, a wszyscy ze skargą na ustach, ze łzami w oczach, i z wołaniem o

zmiłowanie.

Dzień to Patrona, więc tłumy się cisną od wczesnej zorzy do późnego wieczora,

świątynia brzmi pieśnią, wznoszą się dymy kadzielnic,

powiewają barwne

chorągwie,

organy grają. Oddają cześć świętemu Królewiczowi. Lecz
ponad jego chwałbą, ponad
hymnem uroczystym góruje żałosny jęk ludu i wypełnia
świątynię: «Ratuj nas,
wybaw!...
Noc zapada powoli. Cienie obejmują kościół. świece gasną.
Milkną śpiewy i tłum
wylewa się na zewnątrz. Czarnym potokiem rozlewa się
dokoła, łączy się z
ciemnościami i topnieje w nich... i niknie...
Święty Królewicz sam pozostaje w swej srebrnej trumnie, pod
malowaną kopułą.
Czuwają nad nim białe anioły, podtrzymując baldachim i
dumne ptaki, co na
skrzydłach swych jego śmiertelne łoże dźwigają. Czuwają
potężne postacie
ukoronowanych ojców i braci. Czasem promyk ołtarzowej
lampki zamigoce na ich
zbrojach i z cienia wysunie się ramię w miecz zbrojne, lub
błyśnie krzyż, lub
zamajaczy tarcza herbowa.
Cisza zalega pustą już świątynię... pustą... A jednak brzmiać
wciąż jeszcze
skargą i błaganiem: «Ratuj lud swój królewiczu nasz!» Pustą...
A jednak tak
pełną jeszcze tych serc ludzkich, które tu pozostały, uczepione
u ołtarzowych
kolumn, lub krwawiące się różami u ich podnóży.

Więc Królewicz, pomimo ciszy i ciemności, spocząć nie
może. Słyszy jęk swojego

ludu i czułe jego serce cierpi.
Bo wszakże lud to jego rodzony, lud, co go wyhodował i
otoczył opieką. On sam
jest kością z kości jego, kroplą jego krwi. Tu, wśród niego
pędził swój ziemski
życie, otoczony zawsze miłością i czcią. Tu, z tej Zamkowej
Góry schodził o
świecie i klękał pokornie na zimnych kościelnych płytach i w
zachwyceniu trwał
przez długie godziny. Tam na Trzykrzyską szedł w wieczorną
zorzę dumać o
naziemskich rozkoszach i poić oczy pięknnością tej ziemi,
której się wyrzekał. Z
tych uliczek i zaułków szli ku niemu zbiedzeni i nędzni, a on
ich pocieszał i
wspierał, pochylał swój majestat królewski nad łóżem
chorych, dotykał dłonią
białą wszelkich kalectw, uzdrawiał, koił, nawet umarłe dzieci
spłakanym matkom
zwracał, nawet z wysokości nieba zstępował, aby w bitwie
walczyć na czele wojsk
swoich i zasłaniać je płaszczem swym od wroga. I był zawsze
obecny, zawsze wśród
ludu swego mieszkający. A zato lud ten był mu stale wierny.
Imię jego czcił,
wystawiał mu wspaniałe kościoły, na grób sprawiał bogate
ozdoby, na piersiach

wizerunki jego zawieszał, a w niebezpieczeństwie zwłoki jego
unosił w miejsca

ustronne i przed napaścią chronił. I węzeł zawiązywał się
coraz ciaśniejszy
między Królewiczem spoczywającym w srebrnej trumnie nad
ołtarzem, a ludem,
kochającym wiernie.

A teraz ? Lud ten o ratunek błaga. Miałżeby on pozostać
nieczułym? Nie, nie!

Wezwie swoich na pomoc, tych potężnych, co tam w cieniu
stoją, oparłszy dłonie
na mieczach.

«Hej! ojcowie i bracia! Wy, coście sztandar swój nieśli na
wschód i na zachód,
coście wraże karki do nóg swych skłaniali, coście i miłością
takoz podbijali
narody, wy, mądrzy, wspaniali, wielcy, śpieszcie na ratunek!»
Lecz oni stoją w cieniu nieruchomi. Tylko płomyk lampy
zamigoce niekiedy na ich
zbroi... I żaden nie drgnie, żaden się nie ruszy. Nie widzą, nie
czują. Są
martwi.

«Ach ojcowie i bracia! wzdycha święty Królewicz, nie od was
już żądać ratunku.

Iść trzeba do wyższej nad waszą potęgą, udać się do
władniejszej od was
Królowej».

Tak pójdzie do Niej i Ja, tę Pannę Świętą i także Patronkę tego
ludu do wstawien

nictwa skłoni. Ona z nim wespół u Syna swego ratunek
wymodli, Ona Mu w tem

dziele pomocy nie odmówi, Ona, której każdego dnia śpiewał
na chwałę pieśń
natchnioną: «Omni Me Mc Marie»...
W ciszy nocnej wieko trumny się podnosi. Wstaje Królewicz
ze śmiertelnego łoża,
zstępuje na kamienną posadzkę i idzie wolnym krokiem przez
kościół. Płaszcz
szkarłatny za nim się wlecze, ale berło w grobie zostawił, a w
ręku niesie tylko
lilię białą, kwiat swój ulubiony. Idzie ku drzwiom kościelnym,
a przez nie w
puste i senne ulice.
Śpi już miasto snem ciężkim po świątecznym dniu, śpi lud
wiejski, przybyły na
uroczystość swego Patrona. Ulice puste i głucho. Wysoko na
niebie gwiazdy
mrugają.
Idzie Królewicz zwolna pod blaskiem gwiazd. Idzie tą drogą,
którą nieraz za
życia deptały jego stopy, mimo zamku swego, co tam w górze
sterczy na tle nieba
ruiną, mimo wzniesionej pod jego wezwaniem świątyni, do
Panny świętej idzie, do
Matki, co w Ostrej świeci Bramie.
Tam klęka przed Jej ołtarzem. I rozsuwa się zasłona wzorzysta
i uśmiecha się do

niego z pod wspaniałej korony twarz przepiękna, smutkiem
łagodnymznaczona.
«Synu mój miły, mówi głos dźwięczny, jak anielskie granie,
cóż Cię tu do mnie

sprowadza? «O Matko! skargi mojego ludu spocząć mi nie dają. Wśród niebieskiej szczęśliwości słyszę te wołania: Znajdź dlań radę, Ty, coś jest dobra, coś jest u Boga potężna! — «I mnie męka ludu tego serce zasmuca. Wszakże, patrz! oto niema chwili jednej od rana do nocy, aby nie wylewano tu łez gorzkich u moich stóp. Ale ja wiem, że godzina jego jeszcze nie wybiła... — Więc radź Matko, o co najprzód dla ludu mego mamy prosić u Boga? — Naradźmy się, synu kochany, wspólnie... I między Panną Świętą w złocistej na, głowie koronie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a królewiczem, klęczącym w płaszczu szkarłatnym z białą w rękę lilią, następuje narada. Ludzie śpią i nie wiedzą, że tam z wysokości swej strażnicy Matka z Królewiczem o nich się troszczy i frasuje. Długo w ciszy nocnej radzą oni nad dolą ludu kochanego i nad tem, co mu u Boga uprosić trzeba.

Aż blady świt zaczyna spędzać noc ciemną.
A gdy nazajutrz, w drugi dzień święta, tłumy znowu się cisną przed ołtarze Patrona, odchodzą od nich ukojone i ciche. Bo każdy w głębi serca posłyszał głos Jego mówiący: «Nie bójcie się! Nie zginiecie. Bo oto daję wam dar Boży — świętą moc Wytrwania!»

